

Łódź Odgłosy

Nr 1
Rok I
27 maja 1991 r.
Cena 3000 zł

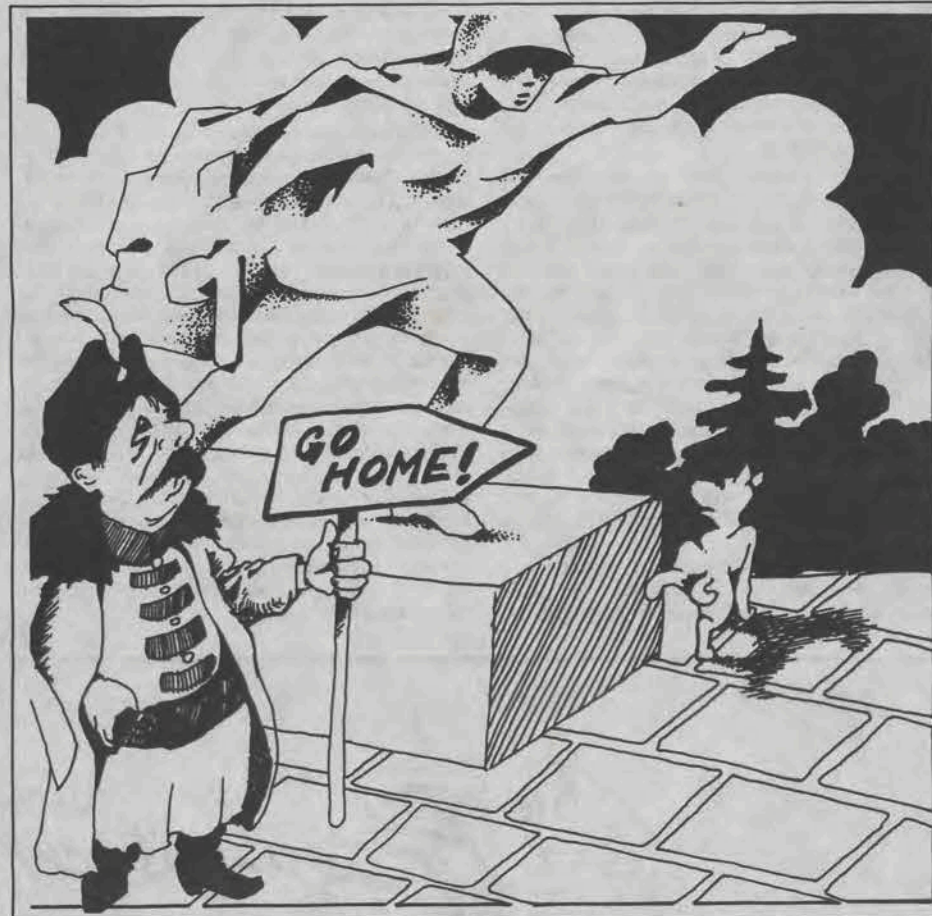
Farewell Red Army

Choć Łódź od zakończenia wojny jest miastem garnizonowym, na pierwszy rzut oka trudno dostrzec tę jego specyfikę. Na dworcu, który zawsze przyciąga żołnierzy, trudno spotkać choćby szeregowca, nie mówiąc już o patrolach żandarmerii, chociaż krzyżują się tu ważne szlaki kolejowe, a raz na dzień zatrzymują się nawet międzynarodowe pociągi relacji Warszawa-Berlin. Przyjeźdnemu tym trudniej domyślić się, że w mieście stacjonuje garnizon radziecki: w kiosku obok peronów nie można kupić ani jednej gazety w języku rosyjskim. Jeszcze pół roku temu docierał tu „Barwinok”, ilustrowane czasopismo dla dzieci oraz polskojęzyczna prasa litewska, teraz jednak ktoś w centrali skreślił je z rozdzielnika, pewnie nie znajdujących nabywców.

Barwinek jest ozdobną rośliną o wiecznie zielonych liściach i błękitnych kwiatach. Jego walory estetyczne szczególnie widoczne są w zimowym lesie, kiedy żywa, skórzasta zieleń przebija spod śniegu. Ta pożyteczna roślina, uprawiana czasem i w doniczkach, a także rosnąca dziko w ogrodach świetnie mogłaby posłużyć jako symbol niewyczerpanej przyrody tak pastelowo przecięt, nieświadomi barwinkowych skojarzeń malowali relacje polsko-radzieckie propagandziści odchodzącej epoki.

Nie wiem, czy łódzkie dzieci miały kiedykolwiek w ręku czasopismo „Barwinok”, ale każdy malec potrafi wskazać drogę „do Ruskich”. Nie zresztą dziwnego, jednostka wojsk radzieckich sąsiaduje z kolegiackim cmentarzem, oddziela go od niej jedynie dodatkowy, niezbyt zresztą wysoki mur, zwieńczony przerdzewiałym drutem kolczastym. Na rozmiętym placu, zamkniętym z jednej strony ścianą garaży, widać samochodowe najazdy reperacyjne. Nie opodal stoją kryte auta ciężarowe wyposażone w charakterystyczne urządzenia radiolokacyjne. Bazy strażnicze wartowników w wieżycach, osłonięty od wiatru kawałkiem dykty. Prymitywna przegródą z niedbale wyciętym okienkiem obserwacyjnym pozwala widzieć także polską, cmentarną stronę, ale żołnierz spogląda tu rzadko, raczej z ciekawości niż potrzeby. Przed laty Rosjanie pilnie strzegli swoich tajemnic: w pobliżu cmentarza rozwinęli hodowlę świń, chociaż chrząkania nie da się zbyt długo utrzymać w

Łódź wolny jest od nienawiści do Rosjan



sekrete. Na tym tle dochodziło do konfliktów, gdyż harcujące posłata nie są najbardziej pożądanym sąsiedztwem grobów, zwłaszcza w kraju tak katolickim jak Polska. Żwinie przeniesiono albo poszły do żołnierskiego kotła i zarzewie niechęci wygasło. Tym bardziej, że szeregowcy nie wychodzą już na przepustkę i widomym świadectwem rosyjskiej obecności jest jeszcze tylko oficerski blok mieszkalny na osiedlu Kostka, zwanym do niedawna osiedlem XV-lecia PRL oraz handel, który zawsze, lepiej niż wszystkie surmy propagandowe, zbliża narody.

Handel ten widoczny jest już na ulicy wiodącej z dworca na staromiejski rynek, noszący nazwę placu Kościuszki. Odbija się z koszyka albo z samochodu, nie cały jednak można zapisać na konto stacjonującej tu jednostki. Rosjanka, która rozłożyła swój kramik na masce volkswagena-passata, przyjechała na przykład z Warszawy,

gdzie ma siostrę, która wyszła za Polaka.

— W stolicy za duża konkurencja, towar trzeba sprzedawać zbyt tanio wyjaśnia powód swojej eskapady do łowicza. Na prowincji zawsze łatwiej coś utargować.

Towarzyszcy jej mężczyzna demonstruje dwie wiertarki. Obok leżą tubki z klejem, peczyki agrafek, komplety do pielęgnacji paznokci. Przechodnie dotykają wyłożonych towarów, ale mimo niskiej ceny, prawie nikt nie decyduje się na kupno choćby drobiazgu. Dojmujący, chłodny wiatr daje się we znaki, toteż właścicielka tych dóbr przytupuje nogami, dla rozgrzewki. Mimo niepowodzenia, nie traci nadziei, jest nieskończenie cierpliwa. Chętnie wyjaśnia po rosyjsku, że samochód dostała w prezencie od brata, który mieszka (a może służy?) w Berlinie.

cd. str. 4

W numerze m.in.:

◆ Szpital
prosi co łaska

str. 3

◆ Prezentacje:
Michał Ogórek

str. 3

◆ Osierocone „Dzieci
Europy“

str. 4

◆ Raport w sprawie
konfliktu w „DŁ“

str. 5-6

◆ Najstarsze filmy
o Łodzi

str. 8

◆ Prawda o obozie
w Łambinowicach

str. 11

◆ Alfabet Badziaka

str. 14

oraz

◆ Powieść z tygodnia
na tydzień!!!

str. 15

Dreszczowiec

Przedemną leży słynna „Filozofia okultyzyczna” Henryka Korneliusza Agrippy z Nettesheimu, w której czytamy, że spożycie żywego (w miarę możliwości jeszcze pulsującego) serca dudka, jaskółki, łasiczki lub kreta daje człowiekowi dar jasnowidzenia. Jest dziewiątą wieczorem, wiec włączam radio. Spikerka czyta głosem suchym i rzeczowym wiadomości: panią Indirę Ghandi zastrzelili dwaj Sikhowie z jej osobistej straży. Ze zbiornika wodnego na Wiśle wylowiono ciało księdza Popieluszki, porwanego przez oficerów polskiej milicji. Organizuje się międzynarodową pomoc dla Etiopii, gdzie śmierć głodowa zagraża milionom ludzi, podczas gdy tamtejszy reżim przeznacza niemal ćwierć miliona dolarów na uroczystości związane z dziesięcioleciem swego istnienia. Naukowcy amerykańscy opracowali projekt stałego obserwatorium na Księżycu i ekspedycji załogowej na Marsa. W Kalifornii pewnej dziewczynce transplantowano serce pawią, przeciw czemu protestowały różne towarzystwa ochrony zwierząt.

* * *

Dawne mity nie są zapewne jedynie realizacją archetypicznych obrazów kolektywnej ludzkiej podświadomości. Są jednakże bez wątpienia także i tym. Wiele tajemnic bytu i człowieka, wiele jego ciemnych wizji, obsesji, tesknót i

przeczuć, niejasnego „przednaukowego” lub „pozanaukowego” poznania, a może i ważnych metafizycznych pewników, kryje się w starych mitach w formie zaszyfrowanej. Mity owe, naturalnie, przerastają swoich twórców, poprzez których przemawiało coś wyższego, coś spoza nich, czego sami nie umieli pewnie bez reszty zrozumieć i nazwać. Autorytet, którym cieszyły się mity w starych kulturach, świadczy o tym, że owa siła wyższa, niech nią będzie cokolwiek, była niegdyś wyczuwalna i ogólnie uznawana. Jeśli poprzestaniemy na jungowskiej interpretacji mitu, wyraźnie widzimy, że wnoszą one również jakiś częściowy czy prowizoryczny „ład” w złożony świat nieświadomych przeczuć, nie udokumentowanych pewników, skrytych instynktów, namietności i pragnień nierozdzielnie związanych z duszą ludzką. A także, że autorytet mitów sprawował nad tymi siłami ludzkiej podświadomości coś na kształt „kontroli” czy „dozoru”.

Nowoczesna cywilizacja pozbawiła stare mity ich autorytetu. Postawiła na chłodny, opisowy rozum kartezjański i uznaje wyłącznie myślenie pojęciowe.

Nie chce mi się wierzyć, że cała ta cywilizacja jest wyłącznie błędną odnogą historii i fatalnym lapsusem ludzkiego ducha. To już prędzej można

cd. str. 6

Słoneczna i romantyczna
MALTA

CENY JUŻ OD 5.900.000 zł
tygodniowe i dwutygodniowe pobyty
samolot, hotel, wyżywienie, opieka
pilota ubezpieczenia, atrakcyjne
wycieczki

AUTOBUSEM
DO LONDYNU

1.750.000 zł bilet roczny open
zniżki dla dzieci, osób starszych bilety rodzinne

RAINBOW
Tours

90-107 Łódź
ul. Traugutta 8 ☎ 36-63-20

BILETY DO
WSZYSTKICH
KRAJÓW ŚWIATA
(Podane ceny to ceny
biletów rocznych)
Nowy Jork 7.000.000 zł
Montreal 7.320.000 zł
Bangkok (Singapur)
8.100.000 zł
Larnaca
4.750.000 zł

Do czytelnika

Po rocznej przerwie „Odgłosy” znów trafiają w ręce Czytelnika jako tygodnik od dziesięcioleci związany z Łodzią, wpisany w jej kulturalny pejzaż.

Długa, nie przez nas spowodowana absencja, spożytkowana została na przegrupowanie sił i zmiany organizacyjne, które doprowadziły do dzisiejszego kształtu pisma. Stać nas było w ciągu tych wielu miesięcy przygotowań ledwie na siedem numerów, ukazujących się nieregularnie, poświadczających wszakże wolę przetrwania. Przyminaliśmy w ten sposób, że istniejemy wciąż jako prasowy tytuł i czynimy wysiłki, aby wybić się na samodzielność. Dziś stała się ona faktem.

Z dawnych tradycji „Odgłosów” pragniemy ocalić reporterską penetrację palących zjawisk społecznych i zainteresowanie problematyką kulturalną, spychaną dziś niesłusznie na margines. A także odwoływanie się do historii, bez której nie może istnieć zbiorowa pamięć, tak bezlitośnie sekowana do niedawna przez najemnych poprawiaczy przeszłości. Pozbawieni kagańca cenzury i podległości jakiegokolwiek „sile przewodniej” widzimy dla siebie szansę w rzetelnym dziennikarstwie. Poza tym wszystko w „Odgłosach” będzie nowe i wspólnie z naszymi Czytelnikami kształtować będziemy formułę tego pisma.

Wierzmy, że w tych poszukiwaniach znajdziemy licznych sprzymierzeńców wśród dawnych, wiernych odbiorców „Odgłosów” i wśród nowych Czytelników.

REDAKCJA



* Nie będzie rewolucyjnej emerytur i rent za drugi kwartał 1991 roku. Według danych ZUS z 31.03.1991 roku w województwie łódzkim średnia emerytura wynosiła 1 086 042 zł, średnia renta inwalidzka – 881 906 zł, średnia renta rodzinna – 878 897 zł. W Łódzkiem żyje 270 tysięcy emerytów i rencistów, a 17 564 osoby otrzymują najniższe świadczenia w wysokości 595 000 zł.

* 14 maja, podczas kolejnej sesji warszawskiej giełdy papierów wartościowych akcje łódzkiego „Próchnika” spadły o 9,8 procent. Płacono za nie po 41 500 zł i była to najniższa cena akcji sprywatyzowanej piątki przedsiębiorstw. Najwyższą wartość miały akcje „Exbudu”. Płacono za nie po 198 000 zł. W kolejce do sprywatyzowania czekają następne łódzkie przedsiębiorstwa. Niektórym grozi bankructwo.

* Niedawno odbyły się wybory uzupełniające do samorządów gminnych. W Mrągowie, spośród 595 uprawnionych do głosowania, udział w wyborach wziął jeden wyborca, który na dodatek skreślił sam siebie, gdyż był to kandydat na radnego. Fakt ten szeroko opisywany był w prasie amerykańskiej, jako „polski dowcip”. Obawiamy się, że może to być nie najlepsza prognoza dla zbliżających się jesiennych wyborów parlamentarnych. Trzeba pamiętać, że w Łodzi zawsze frekwencja wyborcza bywa niższa niż w innych rejonach Polski.

* Od 02.06.1991 PKP zawiesza kursowanie 1775 pociągów lokalnych i dalekobieżnych. Zawieszane też zostały pociągi odjeżdżające lub przejeżdżające przez stacje Łódź Kaliska i Fabryczna. Są to na ogół pociągi, którymi łodzianie w okresie urlopow i wakacji udają się nad morze do Gdyni i Kołobrzegu, nad jeziora do Olsztyna i Elku oraz w góry do Zakopanego. Czyżby PKP uznało, że w tym roku nie będzie wakacji?

* W Zespole Szkół Zawodowych nr 4 w Łodzi do matury przystąpiło 30 uczniów, 15 z nich otrzymało dwójki z pracy pisemnej z języka polskiego, 19 – z matematyki. Do egzaminu ustnego dopuszczono tylko 5 uczniów. Rodzice złożyli protest w Kuratorium Oświaty i Wychowania. Złożono też protesty z 6 liceów.

* 11.05.1991 zmarł profesor Zbigniew Kuchowicz – historyk i pisarz. Był prorektorem Uniwersytetu Łódzkiego, gdzie kierował też Zakładem Historii Polski Nowożytnej. Członek PTH i ETN. Autor książek z historii kultury. Jego śmierć przynosi wielką stratę dla polskiej nauki i kultury.

B.M.

Odgłosy

Tygodnik „Odgłosy”
Redaktor naczelny Mirosław Kuliś
Wydawca: „Odgłosy-Press” S.C.
90-113 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5
☎ 36-52-44

Choć samo zjawisko „nowomowy” wydaje się stare jak stary jest język, to termin ów zadomowił się w polszczyźnie wraz z przekładem na polski powieści G. Orwella „Rok 1984”. Oznacza tam „urzędowy język”, którego „celem było nie tylko dostarczenie środków odpowiednich do wyrażenia światopoglądu oraz myśli właściwych dla zwolenników angosocju (angielskiego socjalizmu), lecz również uniemożliwienie swobody myślenia. Słownictwo nowomowy tak ukształtowano, aby za jego pomocą można było przekazać ze wszystkimi odcieniami znaczeniowymi to, co lojalny członek Partii ma do powiedzenia, zarazem zaś uniemożliwiono wykorzystanie języka do formułowania, nawet okrojonej drogi, myśli uznanych za nieprawomyślną”. Tyle, aby nie rozwlekać, cytatu z Orwella, choć powyższa definicja co oczywiste rysuje konteksty o wiele rozleglejsze niż świat przedstawiony w „Roku 1984”.

Powieść, z której ów wyimek pochodzi, była u nas przedmiotem anatem, zakazów, polemik i dyskusji. Nie chcę do tego wracać, bo nie o powieść tu chodzi, ani o interpretacyjne spory wokół jej ideowych przesłań. Ale o nowomowę właśnie, której mechanizmy Orwell obnażył i po demaskatorsku opisał.

A że autor „Roku 1984” zaczął inspirować naszych publicystów, a i literaturoznawców oraz językoznawców pod koniec lat siedemdziesiątych i w dekadzie następczej, a więc wtedy, kiedy zaczynał narastać społeczny opór wobec obowiązującego ustroju, polskie analizy nowomowy przybrały nader jednostronny charakter. Zbyt wiele w nich emocji, ideologicznych urażów i ledwo skrywanego obrzydzenia. Mając w pamięci to, co w czasie najbliższe, nowomowę potraktowano jako brzydki przypadek, na którą chorował przewlekle i beznadziejnie nasz komunizm nadwiślański. Ockneliśmy się, jak molierowski pan Jourdain, który nagle odkrył, że mówi prozą. Dla niego odkrycie to było prawdziwie zaskakujące, my natomiast ten włos w zupie widzieliśmy zawsze: jedni udawali, iż go nie dostrzegają, drudzy traktowali jako konieczną przyprawę o nazwie „racja stanu”, a jeszcze inni, zupę jedli, starannie włos omijając. Reakcja na ów psychi-

Nowomowy

czny stres przy socjalistycznym stole jeśli już kontynuować tę kulinarną metaforę spowodowała, że nowomowa stała się jednym z najgorszych upiórów przeszłości, które egzorcyzmuje się teraz w dziesiątkach tekstów i naukowych rozpraw (polecam np. znakomitą „Nowomowę po polsku” Michała Głowińskiego). Z nadzieją, że gdy peerelowską zupę wylejemy, nowomowa zniknie jak zjawia właśnie.

I ja tak chciałbym sądzić. Niestety, nowomowy nie stworzył komunizm, ani jak się powtarza wokół ustroje totalitarne. Nowomowa jest składnikiem każdej ekspansji propagandowej albo każdej ideologii i dotąd jest składnikiem niegroźnym, dokąd istnieje demokratyczna konkurencja myśli i hasła, dokąd nikt nie usiłuje narzucić innym swojej ideologii jako jedynie słusznej i obowiązującej, strasząc przy tym piekłem, estosami i narodowym sztandarem.

Pokus nowomowy obecnie mamy wiele. Czytajmy zatem uważnie gazety, wsłuchujmy się w przemówienia sejmowe, w partyjne uchwały, oredzia i kazania duszpasterzy. Przyglądajmy się słowom i ich użyciom z krytyczną refleksją. Raczkująca demokracja nie wykształciła w nas odpowiednich antycy, chociaż wydaje się nam, że to co do nas mówią i jak nas przekonują jest nowe i pozbawione manipulacyjnych intencji. Nie wyginęły jeszcze wirusy poprzednich schorzeń. Nie są od nich wolni ideologowie najnowsi, bo przecież większość z nich nie tylko wchłaniała socjizmaty propagandowe, ale i wcale zrezygnowała z posługiwałości (no, to może mniejszość, ale pewności nie ma). Co gorsza w Polsce propagandą ideologiczną zajmowali się na ogół dyktanci, którzy jakoś mylili zawsze z ilością, perswazję z krzykiem, argument z pałąką. Ci propagandyści najnowsi zatem, nie dysponując po poprzednikach żadnym by tak rzec technicznym instrumentarium, często formułują zawołania równie podejrzaną i nieprzekonującą.

Jeśli więc przeczytamy w gazecie, że „każda demokracja, o najdłuższej nawet tradycji jest bardzo kruchym systemem politycznym”, to wyrażamy krytycznie wzrok i z większą uwagą przeanalizujemy co autor mówi dalej. A kontynuując on tak: „dlatego potrzebne są autorytety osób i instytucji, zwyczaju, tradycji”. Tu ideolog zawieszona pióro nie mówiąc już o jakie „autorytety” i o jakie „instytucje” mu chodzi. Gdy jednakowoż znam nazwisko autora i co ważniejsze jego partyjną przynależność, przecież nielato mi odgadnąć imiona owych „autorytetów” i „instytucji”. A inny ideolog Jan Łopuszański swoje intencje wyraża wprost: „Gdybym miał techniczną możliwość (coż za wspaniały eufemizm! wykrzyknienie moje) to zapewne wkrótce by się okazało, że większość tych fundamentalnych sformułowań i postulatów, które wyrażamy, stałaby się elementarnymi sformułowaniami i postulatami Polaków”.

Byłbym demagogiem, gdybym stawiał znak równości między nowomowami Peerelu (nie były jednorodne i wymieniały po części swoje słowniki; stąd tytuł jednej z analiz Michała Głowińskiego: Ómarcowe gadanie) a nowomowami Rzeczypospolitej Polskiej. Te ostatnie in statu nascendi a więc nie wykształcone jeszcze, poszukujące punktów oparcia (każda nowomowa musi mieć fundament ideologiczno-językowy dogmatycznie traktowany) nie są niebezpieczne. Dokąd na równych prawach mogą się wypowiadać Moczulski i Tymiański, Michnik i Kaczyński, Maziarowski i Geremek, Miller i Najder, nowomowy obecne w ogniu polemik nie będą w stanie sprokurować nowego językowego getta. Poza tym mamy jeszcze Prezydenta, którego lingwistyczna wynalazczość (we wszelkich sferach systemu językowego od leksyki po frazeologię) przez lata całe będzie zbijać z pantafelku każdego maści specmanów od nowomowy.

Grzegorz Gazda



Partia „X” preży się do skoku

Adam Krzemiński i Wiesław Władysław („Polityka” nr 20) wzięli się za klasyfikowanie naszych nowych polityków. Znaleźli wśród nich ORŁY (Wałęsa, Mazowiecki, Balcerowicz), SOKOŁY (Bielecki, Kuroń, Bujak, Hall, Geremek), SOWY (Michnik, Król, Turowicz), SROKI (Maziarowski, Najder) i ŻURAWIE (Olszewski, Łętowska, Bugaj). Na ostatek zostawili sobie DUDKI, charakteryzując je następująco:

„o nich mało wiadomo, czy to tylko złudzenie optyczne i efektywny czubek, czy przenikliwy dźwięk, czy faktycznie polityczne mięso. Na razie wśród nich prym wiodzie Stan Tymiański...”

Jak widać, nawet „Polityka” wyróżniła w jakiś sposób Stana, czyniąc go jedynym reprezentantem ptasi-politycznego gatunku. Od czasu, gdy wprawił on w popłoch całą resztę ptactwa, stając się niebezpiecznie bliskim objęcia prezydentury, nie przestaje być zagadką – także dla zagranicy.

Oto, jak doniósł PAP, „przywódca Międzynarodówki Libertariańskiej (...) nie bardzo wie, co sądzić o ostatnich wypowiedziach Stanisława Tymiańskiego, ponieważ zdaje się odchodzić w nich od zasad skrajnego liberalizmu – czyli libertarianizmu, którym poprzednio ślubował wierność. W wywiadzie dla kanadyjskiego „Toronto Star” Tymiański miał oświadczyć, mówiąc o przyszłości Polski: „Wolałbym raczej system kanadyjski niż amerykański, gdyż kanadyjski zawiera więcej programów pomocy społecznej”.

Zagadka Stana staje się tym bardziej palącą, im bardziej rosną jego wpływy polityczne, oraz – im bardziej odchodzi on od libertarianizmu w kierunku swoistej mieszanki liberalizmu i socjaldemokracji o zabarwieniu populistycznym. Rzecz w tym, że taka mieszanka może stać się w Polsce wybuchowa. A może już się staje?

Poznański tygodnik „Wprost” (nr 18) informuje: „Koszalin znalazł się wśród kilku pierwszych ośrodków, w których powstały terenowe struktury partii „X”. Nie było to poczucie spontaniczne, jak chciałoby tego działacze centralnego biura partii: na początku marca do Koszalina przyjechał Stanisław Tymiański, tymczasowe struktury partii powstały wkrótce potem. Trzeba przyznać, że jej rozwój w województwie, w którym Stanisław Tymiański zdobył 37,5 procent głosów, mógł jego przeciwników przyprawić o ból głowy: organizatorzy partii chwaliли się, że w ciągu kilku dni rozprawili sześćset deklaracji. Tymczasem polityczne filary obozu postsolidarnościowego – Unia Demokratyczna i Porozumienie Centrum – mają w Koszalinie po dwustu członków”.

Jeden z członków partii „X” w Łodzi, Stanisław Kusik („Dziennik Łódzki” z 18 maja) dodaje do powyższego obrazu „partii w terenie” nowe szczegóły:

„Obliczono, że w chwili rozpoczęcia zjazdu mieliśmy 5,5 tysiąca członków. Pan Tymiański uważa, że wkrótce będzie nas około 100 tysięcy. Składka za rok 1991 (od czerwca) wynosi 140 tysięcy złotych. Chodzi nam o szybkie zebranie funduszy na kampanię wyborczą. Od 1 stycznia składka będzie równa jednemu dolarowi USA według kursu NBP. Dla emerytów, rencistów i uczącej się młodzieży są zniżki. Jako jedyni w kraju nie jesteśmy zasilani funduszami z zagranicy. Pan Tymiański darował partii miliard złotych ze sprzedaży swojej książki oraz pożyczył nam pewną kwotę”.

Kim są oni, członkowie i aktywiści nowej, groźnej partii? „Polityka” (nr 20), relacjonując pierwszy zjazd partii „X” w Warszawie, przedstawiała ich w niekorzystnym świetle, jako w większości ksenofobów i antysemitów:

„I tak nas wykupią – mówią panie w toalecie, mając jednorazowe kubeczki po jogurtach. Z zysków kupują dolary i wywożą za granicę. Koleżanka, która ma znajomą prokurator, od tej prokurator właśnie to słyszała. Dlatego trzeba coś robić. Syn tej pani, która uruchomiła dwa biznesy, mieszka pod Polanicą. – Będzie u Niemca robił – mówi mąż – kiedy przyjdą po swoje Kłódzko. – Jak nie u Żyda – wtrąca właściciel zakładu fotograficznego z Gdańska, którego Stan, kiedy już się serdecz-

nie ucałował, upoważnił do zakładania biura partii w Gdańsku. – Żydzi wprowadzili komunę, nie wyszło im, to się znowu wiskają do rządu, do Sejmu, do Kościoła. Oni ograniczają naszą suwerenność – mówi. W Sejmie jest 75 zdeklarowanych. O, już są tacy, którzy policzyli. – Niech pan mówi przedstawiciele mniejszości narodowej, to ładniej brzmi – wtrąca inżynier z Warszawy, który ma kilku znajomych Żydów i oni wcale nie są tacy. – Do Kościoła też się wiskają, a tak: biskup X jest i biskup Y. Tak nas chcą urządzić!”

Tyle „Polityka”. We „Wprost” (nr 20) Stefan Kisielewski opisuje klientelę Stana następująco: „(...) ludzie stworzeni – w sensie psychologicznym – przez komunistów, są skazani – w przeszłości – na zagładę. Oni nie będą już zdolni zaadaptować się do nowych warunków, do pracy przy podnoszonej coraz wyżej poprzeczce. Czekają ich frustracja, bezrobocie, może nędza”.

Chyba że – dodaje dalej Kisiel: „Tymiański im pomoże”.

„Dlaczego akurat on?” – pyta zaciekawiony Gabriel

„Zna Polskę, zna Zachód, może umiałby poradzić, jak nas wszystkich – w jednej chwili – mentalnie przemienić w zdolnych do życia w państwie kapitalistycznym, z jego wymaganiami”.

Czyli – nawet w skądinąd trzeźwym Kisielu zaczyna kiełkować wiara, że może jednak ten Tymiański...

„A skoro już jesteśmy przy Tymiańskim: wódz partii, do której należy, mój przyjaciel, Janusz Korwin-Mikke powiedział, że nie będzie z nim współpracował. Pragnę oświadczyć, że mnie o zgodę nie pytał”.

Myślę, że po tych słowach wielu sympatyków Kisielewskiego zacznie się poważnie zastanawiać, czy aby nie wstąpić do partii „X”. Dla nich, na zakończenie, cytuję fragment deklaracji członkowskiej tej partii:

„W poczuciu krzywdy i bólu zgłaszam swoją osobę do partii „X”, by siłą jedności wspólnie z innymi bronić wspomnianych w deklaracji praw do życia, do wolności i do poszukiwania szczęścia”.

Powodzenia!

A.G.

Najlepiej nie chorować!

W Szpitalu im. M. Kopernika w Łodzi niebezpiecznie rośnie kolejka do naswietleń. Chorzy, wymagający leczenia radioterapią, mogą oczekiwać, że zostaną przebadani dopiero w sierpniu. Jest to efekt zużytego sprzętu, który albo jest bliski śmierci technicznej, albo już nie pracuje. Na oczach bezsilnych lekarzy rozpada się dorobek tworzony przez wiele lat ośrodka onkologicznego.

Kupić można wszystko – ale co z tego?

Dawniej sprzęt medyczny rozdzielali wysoko postawione władze i trzeba było albo uzbierać się w cierpliwość, albo poprzez układy, znajomości i protekcje zabiegać o przyspieszenie dostawy. Dziś jest inaczej. I można powiedzieć, że sytuacja jest pod tym względem zdrowsza. Szpital może kupować bezpośrednio u producenta, bez pośredników, uzyskując nawet gratyfikacje, a więc wydając mniej pieniędzy. Służba zdrowia nie może jednak korzystać z tych udogodnień, bowiem po prostu nie ma środków, a chodzi tu o duże sumy.

Na kupno bomby kobaltowej firmy «Alcion» należy wyłożyć 3 miliardy zł, na kupno bomby kobaltowej firmy «Philips» aż cztery. Potrzeba

Zaczyna być brudny. Staramy się, aby chory nie odczuwał, że oszczędzamy. Nie zmniejszamy przyjęć. Wszystkie oddziały pracują normalnie, a niektóre nawet ponad normę. Takie jest zapotrzebowanie. Tylko, że z tych oszczędności onkologia nie stanie na nogi. A przecież ten ośrodek ma dobre notowania, ma wysoki poziom, wielu innych tu uczyło się organizacji pracy, tu pracują świetni fachowcy. I żal, że nie możemy ich właściwie wykorzystywać.

Szpital M. Kopernika leży w gestii wojewody, a zatem jest finansowany z budżetu państwa. Jeśli budżet przyzna wojewodzie pieniądze, to wojewoda przekaże je szpitalowi, jeśli nie da bo wiadomo, że w budżecie państwa rośnie dziura to i szpital nie będzie miał. Gdyby nie oszczędzać, to szpitalowi pieniądze starczyłyby do... końca czerwca, no może początków lipca 1991 roku. Jak będzie dalej?

Dalej można liczyć na dobrodziejów. Jest Fundusz Zdrowia Ziemi Łódzkiej, działa Fundacja Zdrowia «Solidarności» oraz Społeczny Komitet Walki z Rakiem. Niektóre szpitale otrzymują z fundacji pieniądze na jakieś urządzenia, ale są to niewielkie kwoty w porównaniu z potrzebami łódzkiej onkologii. Znalazł się poważny ofiarodawca z Bełchatowa, który przeznaczył 200 mln zł na budowę pomieszczeń dla nowego przyspieszacza liniowego, «Satuma». Szpital oczekuje na dalsze wpłaty, czeka na filantropów z gestem!

chcemy w «Koperniku» cokolwiek przed kimkolwiek zamykać. Lecznictwo jest w tragicznej sytuacji. W Bełchatowie zamyka się oddział, w Tusznynie to samo, nie ma pieniędzy na leczenie w Rzeszowie, Szczecinie i Gorzowie Wielkopolskim, podobno w Poznaniu onkologia jest w krytycznym stanie. Ośrodek w Łodzi budowano z wielkim trudem, wielu ludzi poświęciło temu wiele lat życia, a teraz to wszystko rozpada się na ich oczach. I oni są bezsilni.

Instytut Onkologii w Warszawie, który prowadził rządowy program walki z rakiem przewidywał, że w 2000 roku liczba nowych zachorowań na raka zwiększy się do 120 tysięcy rocznie. Tymczasem niestety ten stan «już osiągnięto». Mężczyźni najczęściej zapadają na raka płuc, żołądka i krtań. Kobiety na raka sutka, płuc, narządów rodnych i żołądka. Rak płuc wcześniej wykryty daje szansę wyleczenia. Później tylko przedłużenia życia. Również wcześniej wykryty rak tarczycy daje się skutecznie wyleczyć. Rozwinęto diagnostykę i teraz byłoby szkoda wszystko to zaprzepaścić. A na to się zanosi.

Łódź może wprawdzie pochwalić się, że tutaj wcześniej wykrywa się dużą ilość przypadków zachorowań na raka, ale sypiące się aparaty do radioterapii ograniczają możliwości lekarzy, którzy z konieczności, dla ratowania zdrowia, stosują metody leczenia chirurgicznego.

Na szczęście są leki cytotatyczne. Ale w latach 80., kiedy leków brakowało, z Warszawy przyszło

Szpital prosi co łaska

dwóch rentgenów. Jeden pracuje od 36 lat i, dzięki umiejętnościom szpitalnych techników, jeszcze działa. Drugi już nie pracuje. Ale kupić trzeba dwa, a to oznacza kolejne 3 miliardy zł. Na wyzerpaniu jest już zaplecze diagnostyczne, które pozwala na wczesne wykrywanie raka, a więc jest po prostu niezbędne. Skąd wziąć pieniądze na nowe?

Jedyny w Łodzi tomograf komputerowy pracuje na maksymalnym obciążeniu, ulega ciągłym awariom i trzeba go zastąpić nowym. Ośrodek onkologiczny chce go kupić razem z Akademią Medyczną, tyle że to półtora miliona. Dolarów! Jeśli poczyni się odpowiednie zabiegi, to można uzyskać rabat, który tę kwotę zmniejszy do 900 tysięcy zielonych, ale ich też nie ma.

Potrzebny jest rentgen naczyń 10 miliardów zł. Dla wykrywania przerzutów nowotworowych niezbędna jest gammakamera najtańsza kosztuje 350 tysięcy dolarów. A co z aparaturą pomiarową dla wszystkich aparatów, które wydzielają promieniowanie? Znow 70 tysięcy dolarów. Nie mam odwagi zliczyć tego wszystkiego. Ale lekarze, którzy tam pracują wiedzą, że potrzeba najmniej 30 miliardów złotych.

Skąd wziąć pieniądze?

Mówi dyrektor szpitala im. M. Kopernika dr JÓZEF TAZBIR: Prowadzimy w szpitalu bardzo oszczędną gospodarkę, ale to niczego nie rozwiązuje. Szuka się bowiem oszczędności przez odejście, czegoś się nie kupi, czegoś się nie doinwestuje, załogi się nie ubierze, zrezygnuje się z remontu. I szpital wygląda tak, jak wygląda.

...aut bene aut nihil.

Gdyby zastosować się do wezwania starożytnych, którzy uważali, że o zmarłych należy mówić dobrze albo też milczeć na ich temat, nie istniałoby to, co nazywamy historią. Na szczęście nigdy nie pojmowano tego zakazu zbyt dosłownie, dzięki czemu wiemy dziś o przeszłości więcej niż jej nieświadomi świadkowie. Wszak poeta powiedział: „Spisane będą czyny i rozmowy”. Muszą się z tym liczyć wszyscy, którzy działają publicznie. Ich zasługi, ale też i przewiny stają się w pewnym momencie zbiorową pamięcią.

Niedawno w Łodzi zmarł Bolesław Koperski. Nie był on w tym mieście postacią tużinkową, wiele lat rezydował w tzw. Białym Domu, (a był to okres Gierkowskiego przyspieszenia cywilizacyjnego, który zapisał się wielką ilością nie zawsze trafionych inwestycji i jeszcze większym zadłużeniem w zachodnich bankach), mimo to trudno w partyjnym życiorysie sekretarza wojewódzkiego znaleźć coś indywidualnego, co by go wyróżniało spośród standardowych biografii działaczy tamtej odchodzącej epoki. Miał bowiem i dobre, proletariackie pochodzenie (przed wojną górnicy), i skromny wążek narodowo-martyrologiczny (w czasie okupacji wywieziono go na przymusowe roboty do Niemiec). Po wojennej zawierusze jako dwudziestokilkuletni młodzieniec opowiedział się po stronie słusznych sił zwalczających reakcję, zostając zawodowym działaczem młodzieżowym. Nie mamy powodu wątpić, że jego zaangażowanie było szczerze, a na pewno tak uważali jego przełożeni, skoro przeniesiony zostaje do Warszawy. „Na szkole”, jak się mówiło w ówczesnym, pezetpeerowskim żargonie. Przygotowany pośpiesnie do zawodu dyplomata otrzymuje posadę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a w połowie lat sześćdziesiątych władze partyjne powierzają mu nawet kierownictwo Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie Zachodnim. To stamtąd w pierwszych miesiącach 1971 r. rzeździ

Dziękujemy serdecznie każdemu, kto da cokolwiek na potrzeby naszej placówki mówi dyrektor Józef Tazbir. Rozesłaliśmy pisma «po prośbie» do instytucji, fabryk i przedsiębiorstw. Niech każdy pomoże na tyle, na ile go stać. Ale i potencjalni sponsorzy są w trudnej sytuacji, wiem, że chcieliby, ale same checi nie wystarczą.

Dyrektor ośrodka onkologii dr TADEUSZ NAGAŃSKI: Kiedy zbieraliśmy pieniądze na «Satuma», to przynajmniej jedną trzecią podarowały nam zakłady pracy, 140 tysięcy dolarów przekazał Tadeusz Mazowiecki ze swego funduszu, część dało Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej, a część Instytut Badań Jądrowych w Świerku.

Dyrektor Nagański dodaje dr Tazbir nogi uchochód i samochód zajędzil, ale pieniądze zdobył.

Nadal działa zasada: jakoś to idzie

Sprawa jest skomplikowana i znana od dawna. Łódzki ośrodek ma charakter regionalny. To znaczy, że obsługuje także sąsiednie województwa: sieradzkie, skierniewickie, piotrkowskie i płockie. Od lat więc mówi się, że województwa te powinny mieć swój udział w finansowaniu łódzkiej onkologii.

Tadeusz Nagański: W szpitalu leczymy rocznie 10 tysięcy osób, z tego 50 procent zamiejscowych. Poradnia onkologiczna przyjmuje rocznie około 100 tysięcy pacjentów, z tego połowa przyjeżdża do Łodzi. I nikogo to nie obchodzi ani wrusza. Szpital musi, szpital nie może odmówić. A że szpital upada? Proszę jednak nie zrozumieć, że my

polecenie, że należy pacjentów dzielić na 3 grupy: pierwsza tych, których leczyć należy, druga tych, których leczyć jeszcze można, trzecia tych, których już leczyć nie można. Lekarz musiał dokonać wyboru. Taki stan trwał 3 lata. Na szczęście to już przeszłość, ale lekarze boją się, aby nie stała się nadchodząca przyszłością.

Wspomnienia potrafią odbierać sen.

Dyrektor pisze memoriały i apele

Dyrektor Józef Tazbir dostaje pieniądze na szpital w miesięcznych ratach, po 7 miliardów zł. Jasne, że nie starcza. Dyrektor techniczny pisze własnie raport o stanie technicznym szpitala. Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej zna kłopoty «Kopernika», ale wiele zrobić nie może, bo jest uzależnione od Ministerstwa Finansów. W Warszawie łatwiej jest robić oszczędności, w szpitalu trudno jest okrojonymi sumami załatać szybko rosnące potrzeby. Pisze więc raporty dyrektor techniczny, pisze dyrektor Tazbir, piszą inni. A ministerstwo milczy. Dlatego na zakończenie zacytuje jeszcze raz Józefa Tazbira:

Wiem, że to żebrania, ale nie wstydję się, bo celem jest zdrowie ludzkie, przedłużenie życia. Więc proszę co łaska...

I podałem mi kartkę z następującymi danymi: Wojewódzki Szpital Zespolony im. Mikołaja Kopernika Łódź, ul. Pabianicka 62 Powszechny Bank Gospodarczy II Oddział Łódź, nr 344612-2046-139-32

Bogda Madej

De mortuis... 3892-A

do rodzinnej Łodzi, aby podjąć się odpowiedzialnej funkcji I sekretarza PZPR. Jest także postem dwóch kolejnych kadencji sejmowych w okresie, który zapisał się jako epoka bulwersujących opinie publiczną poprawek do Konstytucji (o kierowniczej roli partii i wiecznym sojuszu wojskowym z ZSRR). Kiedy rozpoczęły się robotnicze protesty 1980 r. partia posyła go do Bukaresztu, gdzie zostaje ambasadorem PRL. Jednocześnie, pod naciskiem wyborców, sam składa poselski mandat, gdyż trudno mu łączyć funkcję parlamentarną z obowiązkami dyplomaty na wysuniętej placówce. Zakończył karierę zawodową jako dyrektor Okręgowego Urzędu Miar w Łodzi mając tyle krytycyzmu, aby nie przyjąć ofiarowanej mu przez partyjnych przyjaciół posady wydawcy.

Z przemówień nad trumną. Mówi Józef Niewiadomski, wieloletni prezydent Łodzi, później minister budownictwa, a wreszcie I sekretarz KŁ PZPR.

„Przekonany jestem, że przyjdzie taki czas, kiedy historia obiektywnie oceni Twoją pracę. A te dokonania były ogromne. W latach 1971-80 zbudowaliśmy przecież 100000 mieszkań, 100000 łódzkich rodzin otrzymało w tamtych latach nowe mieszkania; zbudowaliśmy 57 nowych fabryk; 150 zmodernizowaliśmy, aby poprawić warunki pracy i życia mieszkańców naszego miasta. Jeszcze w latach sześćdziesiątych dymilo nad Łodzią ponad 840 fabrycznych kominów. Dzięki wybudowaniu 3 elektrociepłowni zostało ich 26”. Mówi Bolesław Malinowski, długoletni pracownik aparatu partyjnego, przedstawiciel Koła Weteranów Lewicy SDRP:

„Tak jak wielu z nas w młodości poznał smak i owoc kapitalizmu w ówczesnej wersji. To właśnie zrodziło twoje zaangażowanie społeczne

i polityczne”. I jeszcze: «Wiele z naszych marzeń lat młodzieńczych nie spełniło się, ale życie społeczne jest silniejsze, trwa i trwać będzie nadal!».

Oddajmy ponownie głos Józefowi Niewiadomskiemu:

„Bolku, nad Twoją mogiłą nie pochyla się dziś sztandary pokryte kirem, nie ma oficjalnych przedstawicieli władz tego miasta (oczywiście poza Urzędem Ochrony Państwa), nie będzie salwy honorowej, ale jest i będzie nasza pamięć o Tobie, wspaniałym człowieku, wielkim patriotcie, naszym przyjacielu».

Działo się to w przeddzień 1 maja na cmentarzu żarzewskim. W pogrzebie wzięło udział jakieś 200 osób. Przy trumnie zmarłego odliczyło się dwóch byłych I sekretarzy KŁ PZPR i kilku byłych sekretarzy funkcyjnych, były redaktor naczelny „Głosu Robotniczego”, kilkudziesięciu aparatczyków szczebla dzielnicowego, grupa pracowników Okręgowego Urzędu Miar. Zabrakło przedstawicieli kierownictwa SDRP i innych ugrupowań zaliczanych do lewicy. Zmarły znalazł wieczny spoczynek w pobliżu mogiły Michałiny Tatarówny-Majkowskiej, także byłego I sekretarza. Nad grobem grała orkiestra dęta łódzkich pocztowców, wynajęta przez komitet pogrzebowy. Zabrakło środków na płatny artykuł wspomnieniowy o zmarłym, a wśród „niezależnych” dziennikarzy, którzy zmienili już barwy, nie znalazł się nikt, kto chciałby tę śmierć odnotować z kronikarskiego obowiązku w swojej gazecie.

„Sapientis est mutare consilium” mawiali starożytni, co się wyklada: kto rozsądny, nie waha się zmienić zdanie. Najlepiej zaś obóz polityczny.

Jerzy Darnal

Michał Ogórek



Michał Ogórek, felietonista, prześmiewca i kpiarz, nazywany przez niektórych „polskim Artem Buchwaldem”, odwiedził pod koniec kwietnia Łódź. Podpisywał książeczkę „Jak przekonać do aresztu”, będącą zbiorem felietonów z „Przeglądu Tygodniowego” i „Gazety Wyborczej”, a także spotkał się z czytelnikami w lokalu ROAD.

Zaczął poważnie, od deklaracji ideowej:

Zrobiłem sobie założenie; nie będę się troszczył o cały ten kraj, ani o świat, ani o ludzi starych i kulturę, ani o młodzież i gospodarkę. Nie będę pisał uginając się pod brzemieniem odpowiedzialności i mam nadzieję, że taka moja postawa jest wyrazem tzw. zdrowego cynizmu.

Żeby go jednak nie brać zbyt poważnie, Ogórek zaraz potem sam sobie zaprzeczył:

Za komuny w „Przeglądzie Tygodniowym” było tak, że można było pisać o wszystkim, oprócz trzech tematów: o Rosjanach, wojsku i partii. Teraz, po okresie strasznej wolności, znowu pojawiły się tematy, co do których jest duża ostrożność i wyculenie. Są to: aborcja i kościół. Ale najgorsze jest to, że gdy usiłuję coś o tym napisać, zapominam o programowym braku zatroskania. Zaczynam się zastanawiać, wazyć słowa, skreślać i poprawiać...

Mimo wszystko, rezultat bywa czasami wystarczająco ostry, czyli jak na Ogórka przystało:

Przeczytałem, że projekt ustawy sejmowej o ochronie zwierząt obejmuje koty żyjące dziko w piwnicach, ale koty np. podwórkowe zostały wyłączone. Wzbudziło to oburzenie kotów i moje. Spytałem więc w TV, czy ustawy o ochronie życia poczętego nie rozszerzy na wszystkie kotki, nie tylko piwniczne. Uznane to zostało za niesmaczny żart. Otrzymałem pismo, zaczynające się od słów „senatorowie i posłowie Rzeczypospolitej protestują”. W tekście była już wzmiankowana „grupa senatorów i posłów”, zaś samo pismo podpisała tylko jedna posłanka. Zarzuciła mi m.in. przekroczenie granicy wolności słowa.

Ogórek w granice wolności słowa nie wierzy, ale wierzy święcie, że na pewno istnieją granice dobrego smaku bo rzeczywiście można je przekroczyć. Przykładem, wedle Ogórka, jest pismo Urbana „NIE”.

Innym, trudnym dla Ogórka tematem, jest oprócz aborcji i kościoła „temat prezydenta”. Właściwie, to jest on trudny przez to, iż jest za łatwy. Za łatwy jest bowiem wytykać prezydentowi liczne błędy językowe.

Nie piszę o tym, co byłoby łatwizną. Okropnie się tylko boje, że wszyscy ludzie w Polsce zaczną tak z czasem mówić, jak nasz prezydent. To byłaby klęska!

Poza tym Ogórek dostrzega, że konsekwencje, powiedzmy, językowych przeklemań, bywają czasami dość poważne:

Byłem w San Francisco, gdy dowiedziano się tam o jakiejś wypowiedzi Wałęsy, że „narkomanów i homoseksualistów należałoby zniszczyć”. Ambasada polska zaprzeczyła, iżby coś podobnego zostało wypowiedziane, lecz narkomani i homoseksualiści, stanowiący znaczące odłamy mieszkańców San Francisco, poczuli się obrażeni. Na uliczkę, wąskiej i dość obskurnej, nazwanej imieniem Lecha Wałęsy, rozpoczęły się gwałtowne demonstracje. Domagano się zmiany nazwy tej ulicy. Napisałem wtedy wyjątkowo bardzo poważną relację z tego wydarzenia. Gdy wróciłem do kraju, okazało się, że redakcja ją odrzuciła, obawiając się posądzenia o wrogość wobec prezydenta...

Jak zatem dowiódł Ogórek, o sprawach bardzo poważnych lepiej jest czasem pisać w sposób niepoważny. Jest to kolejny z paradoksów w kolekcji Ogórka.

AG

cd. str. 1

Farewell Red Army

mieli i przywozili tutaj. Rodziny wojskowych, panie oficerowe, krewni i pociotki. Teraz trudno przyciągnąć wzrok kupką śrubek czy niemodnymi butami, nawet nie wiadomo, czy do pary. Ale ludzie chcą żyć i trudno im się dziwić.

Gwarząc sobie z panią Dorotą, czekam na powrót pana Łukasza Kazłowskiego w jego gabinecie na ratuszu. Wysoki strop pomieszczenia przypomina o historycznym pochodzeniu tej budowli, choć jak na Łowicz jest stosunkowo młoda, bo ledwie z pierwszej ćwierci ubiegłego stulecia.

Burmistrz Kazłowski podkreśla, że z Rosjanami nie mają specjalnych kłopotów. Gospodarują oni w dawnych polskich koszarach, które w czasie wojny Niemcy zamienili na szpital. Krasnoarmiejcy, przepędzili najezdniców, sami wstąpili w ich prawa do obiektu, rozbudowali go nawet. Na szczęście nie jest to jednostka duża, dlatego też niezbyt uciążliwa. Co prawda od czasu do czasu, kiedy żołnierze ćwiczą się w łączności, zakłócają odbiór telewizji, na ekranach pojawiają się charakterystyczne kraty. Wtedy z ratusza dzwoni się do dowództwa i to zazwyczaj pomaga, żołnierze przesuwają się dalej, albo przełożeni skracają ich zajęcia.

Oczekiwanie na wyjście tej jednostki z Łowicza związane jest głównie z nadzieją na mieszkanie. Placę budowy praktycznie stanęły, z braku pieniędzy, a tutaj, w zasięgu ręki, są trzy spore bloki, w których można by ulokować z jakieś osiemdziesiąt rodzin. Oczywiście, wszystko zależy od terminu wyprowadzki Armii Czerwonej, a już teraz wiadomo, że jednostka łączności będzie jedną z ostatnich, nie można liczyć, że Rosjanie powiedzą: «Praszczaj, lubimy Łowicz», przed końcem 1993 roku. Kiedy jednakże już wyjadą, decyzje będą w ręku wojewody, bo mienie poradzieckie będzie stanowić własność skarbu państwa. Tymczasem Rosjanie wzniesli tylko dwa bloki w pobliżu koszar, trzeci, ten na osiedlu Kostki, niewątpliwie wybudowało miasto. Czy władze województwa skierowującego zgodzą się, aby te domy zasiliły mienie komunalne?

Burmistrz Kazłowski, chociaż wychował się w Łowiczu, praktycznie nie miał kontaktów z Rosjanami. Pamięta, jeszcze z czasów szkolnych, że czasem dochodziło do jakichś bójek, zresztą bardzo incydentalnie, bo żołnierze byli krótko trzymani przez dowództwo. Od dwóch lat prawie ich zresztą nie widać, nie są używani do tzw. «czynów społecznych», kiedy świadczyli różne prace na rzecz miasta.

Ale Kazłowski jako burmistrz utrzymuje z dowództwem jednostki radzieckiej sporadyczne kontakty. Powiadomił ich o zamiarze rozbioru Pomnika Wdzięczności, aby zaoszczędzić ewentualnego szoku, bo przed rocznicą Majowej Konstytucji sierpy i młoty oraz pięcioramiennie gwiazdy na środku Rynku coraz bardziej drażniły ludzi i rozlegały się zniecierpliwione głosy, aby czym prędzej rozebrać to paskudztwo. Sam demontaż przebiegał jednak najzupełniej spokojnie, wszakże bez udziału zaproszonego obserwatora radzieckiego. Niespodziankę stanowiło tylko to, że jak się okazało, monument wzniesiony został z płyt zagrabionych z cmentarza żydowskiego. Tak to czczą pamięć jednych, bez skrupułów bezczeszczono pamięć innych. Wystawia to ponure świadectwo epoki serwilizmu.

Ostatnio Kazłowski zwiedził koszary, oprowadzany przez kombryga, aby przedłożyć zarządowi miasta propozycje przyszłego zagospodarowania tego obiektu. Po tej lustracji zgłosił projekt, aby, po koniecznej adaptacji, wykorzystać go na szpital. Raz dlatego, że służba zdrowia opłacana jest z budżetu wojewódzkiego, więc miasto nie będzie musiało ponosić dodatkowych ciężarów, przekraczających jego siły. A po wtóre nowy szpital jest po prostu niezbędny. Dotychczasowa lecznica, wzniesiona bodaj w 1947 roku, trzeszczy w szwach, jako izby chorych wykorzystuje się nawet korytarze. W ciągu lat powojennych Łowicz rozrósł się niemal w dwójnasób, liczy dziś blisko 30.000 mieszkańców. I lekarze, i pacjenci mają prawo narzekać na trudne warunki. Adaptacja koszar na cele służby zdrowia będzie o wiele mniej kosztowna niż budowa nowego szpitala. Z tym starym wiąże zresztą Kazłowskiego związki sentymentalne: wzniosła go firma budowlana należąca do ojca dzisiejszego burmistrza. Był architektem i przedsiębiorcą, rychło więc dostał się na listę wrogów klasowych. Po konfiskacie firmy długo nie mógł znaleźć pracy w samym Łowiczu i dopiero pod koniec życia został architektem miejskim.

Z ludzkiego punktu widzenia Kazłowskiemu jest nawet żal tych odchodzących Rosjan. Dla wielu z nich wyjście z Polski będzie tragedią, bo przywykli do cywilizowanych warunków, a w ich ojczyźnie nie czeka ich nic dobrego. Ale to jednostki zawsze płacą cudze rachunki wystawione przez historię.

Wyposażony w elementarną wiedzę o radzieckiej jednostce udałem się na umówione wcześniejsze spotkanie z podpułkownikiem Łakomowem. Koszary rozciągające się wzdłuż szosy do Płocka skryte są za wysokim ogrodzeniem i tylko bramy pomalowane w charakterystyczne trójkąty przypominające pola do gry w

halmę pozwalają się domyślić, że to teren wojskowy.

Kiedy wyluszczyłem cel swego przybycia, wartownik za płotem udał się do dyżurki. Zobaczyłem go przez szybkie okienka podnoszącego słuchawkę telefonu. Drugi żołnierz otworzył bramę, okazało się jednak, że to nie dla mnie, tylko dla wjeżdżającego autobusiku, w którym siedział jeden tylko pasażer w oficerskim mundurze. Oczekiwanie dłużyło mi się, ale żołnierz nie był rozmowny. Wreszcie wrócił ten, który telefonował i oznajmił, że kombryga nie ma w Łowiczu. Poprosiłem, aby powiadomił o tym przybyciu zastępcę dowódcy.

Jego też nie ma usłyszałem.

Przecież się umówiliśmy powiedziałem. Obiecał spotkanie...

Są w Legnicy wyjaśnił zakłopotany żołnierz. Wróć dziesiątego maja.

A oficer dyżurny? Nie ustępowałem.

Teraz odpoczywa, będzie o drugiej.

Ja też będę tu o drugiej.

Udałem się znów do miasta pytając demonstracyjnie napotkanych mieszkańców o „ruski targ”. Niektórzy wzruszyli ramionami, inni z oburzeniem odpowiadali, że tu nie ma żadnego „ruskiego targu”, jeszcze inni wyjaśniali, że Rosjan najłatwiej można spotkać na targowicy.

Było ich tam sporo, mimo nie sprzyjającej pogody, okupowali dwa rzędy straganów, na których porzkładali swoje dobra: lalki, sekatory, szampany, wódki, kiepskie papierosy, samochodowe klucze, wiertła, groszowe niby-czekolady i importowaną pastę do zębów. Biedny rynek, kontrastujący choćby z polskimi straganami w Łowiczu puszczącymi się zachodnimi towarami kolonialnymi. Biedny rynek, ale i niskie ceny, toteż niektóre towary znajdowały jednak nabywców. Jakiś podchmielony obywatel, który przedterminowo uczcił dzień świętego Stanisława zapraszał przystojną Rosjanke do swego mieszkania.

W celach najzupełniej handlowych jak to kilkakrotnie podkreślił.

Ponieważ niczego nie rozumiała, posłużyłem za tłumacza.

Nie mogę, dzisiaj wyjeżdżam wymówiła się natrętowi, który wziął mnie widocznie za jakiegoś bossa handlujących Rosjan, gdyż zaczął układać się ze mną.

Kiedy wróciłem do jednostki i machnąłem dziennikarską legitymacją, znajomy wartownik zawiadomił mnie od razu, że oficer dyżurny nie może o niczym zadecydować bez kombryga.

A kombryg będzie dziesiątego dodał.

Wyrziliłem ubolewanie, że nie będzie mi dane napisać o tradycjach bojowych ich jednostki, na co bardzo liczyli polscy czytelnicy. Takie wytrychy słowne czasami okazują się skuteczne i we wzroku wartownika po raz pierwszy dostrzegłem wahanie. Powtórzył jednak:

Kombryg będzie dziesiątego.

Wówczas wtrącił się jakiś cywil stojący przed bramą:

A Jasiuk?

Nie wiem, kim był wspomniany Jasiuk, choć to nazwisko zrobiło na wartowniku wrażenie.

Jasiuk toż nie chociet' wyjaśnił cywilowi.

Z tym nieznanym cywilem, chłopcem spod Nowosybirsk, udałem się w powrotem do centrum Łowicza. Opowiadał mi, że kiedy rok temu przyjechał do Polski, miasteczko wydało mu się jedną wielką witrzyną wystawową. Nigdy nie był z granicą, prócz tej służby.

I co, żal wam będzie odchodzić? zapytałem.

Nie wiadomo, co nas tam czeka wśród swoich.

Rozstaliśmy się na Rynku w pobliżu cokołu po niedawnym monumente wdzięczności.

Zaciem znieśli?

Został zrebrany jako symbol radzieckiej dominacji.

Nie wiem, czy zrozumiał, chociaż rozmawialiśmy po rosyjsku. W salonie firmowym „Sony” o nazwie Justa opowiedziałem o mojej rozmowie.

Panie, co taki żołnierz winny wyjaśniła właścicielka. Przysłali ich tu, to co, ma się sprzeciwić?

Krocząc ulicami Łowicza poszukiwałem na murach napisów w stylu „Czołgi do Wołgi”. Nie napotkałem nic, co by mogło posłużyć za świadectwo wrogości.

Może jestem zbyt słabym obserwatorem, ale udało mi się znaleźć tylko jedno hasło o wymowie politycznej: PREZYDENT TAK, WAŁESA NIE. Może więc za dwa lata, kiedy Rosjanie będą na zawsze opuszczać Łowicz, na Rynku zgrupadzi się jakiś Komitet Pożegnany. I jakaś przedstawicielka miejscowych obywateli powie na zakończenie w modnej angielszczyźnie: Farewell Red Army. To o wiele bardziej elegancko niż: Go home!

Bo Łowicz wolny jest od nienawiści.

Konrad Frejdllich

Konstytucja 3 Maja w Szacowny

Obchody 200 rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja miały, jak się wydaje, nie tylko przypomnieć jedno z ważnych wydarzeń z przeszłości, ale także służyć utrwaleniu szacunku dla historii oraz poczuciu ciągłości i tożsamości narodowej. Można jednak wątpić czy parady wojskowe, uroczyste nabożeństwa i defilady powozów oraz okolicznościowe teksty w gazetach spełniły to zadanie.

Doraźne spory ideowe i polityczne nałożyły się na 3-Majową rocznicę, stała się ona pretekstem do wypowiedzania rozmaitych sądów, także i takich jak: «będzie to jedynie liturgia, w której węgnie udział pospółu prezydent, prymas, prof. Geremek i czelowe postacie życia politycznego. Usłyszymy kilka patetycznych a banalnych przemówień, odbędą się jakieś spektakularne uroczystości i to wszystko. Ale dobrze, że się odbędzie. (Jerzy Milke w «Wiadomościach dnia» nr 84). Tu z uznaniem należy odnieść się do proroczych zdolności autora tych słów, bo rzeczywiście wszystko tak właśnie się odbyło.

Nie dziwi więc, że dla większości społeczeństwa, pochłoniętego borykaniem się z trudnościami codziennego bytowania, Konstytucja z 1791 r. jest dokumentem z przeszłości, o którym wypada uczyć się w szkole i który jednocześnie dla przedstawicieli elity politycznej jest pretekstem do wygłaszania bardziej lub mniej udanych oracji do narodu. Zwykle przez ten naród bardzo nieuważnie wysłuchiwanym.

W celu poznania, w jakiej mierze tradycja Konstytucji 3 Maja jest obecna w świadomości współczesnej polskiej młodzieży, przeprowadziłem na ten temat sondaż wśród 488 uczniów klas maturalnych liceów ogólnokształcących w Łodzi, Koszalinie i Sieradzu oraz 92 studentów I roku ekonomii Uniwersytetu Łódzkiego. Wprawdzie miał on miejsce wiosną 1986 r. i być może poglądy tegorocznych maturzystów są nieco inne, ale wydaje się, że opinie badanych przeze mnie uczniów i studentów są typowe dla poglądów młodej polskiej inteligencji. Zresztą większość zapytanych przeze mnie o Konstytucję 3 Maja właśnie w tym roku kończy studia.

Spośród 580 osób tylko co dziesiątka zadeklarowała swoje duże zainteresowanie historią, 60 proc. określiło je jako średnie, a prawie 1/3 uczestników sondażu wręcz oświadczyła, że zagadnienia historyczne mało lub w ogóle jej nie interesują. Zapewne badania przeprowadzone wśród uczniów szkół zawodowych i młodzieży pracującej lub obecnie bezrobotnej dałyby wyniki odbiegające in minus od uzyskanych w omawianym sondażu.

Wśród postaci historycznych, które młodzi ludzie obdarzali największą sympatią i podziwem znaleźli się w kolejności: Tadeusz Kościuszko (63,4 proc. wskazań), Józef Piłsudski (50 proc.), Władysław Sikorski (43,8 proc.), Jan III Sobieski (36,5 proc.) oraz Bolesław Chrobry (33,2 proc.). Inne osobistości wskazywane przez uczniów i studentów uzyskały mniej niż 1/3 głosów. Jednocześnie uczestnicy sondażu wskazywali wyda-

Pierwsza prywatna szkoła w Łodzi robi plajtę. Dla Jadwigi Góreckiej, prezesa Fundacji „Dzieci Europy”, która założyła tę szkołę, jest to katastrofa podwójna. Nie tylko traci dobrą posadę, ale całkowicie w łeb biorą jej zamierzenia, by powieść dzieci do źródeł cywilizacji europejskiej. I to w pierwszym roku działalności szkoły.

Imponujące zapowiedzi

Fundacja została ustanowiona w lipcu 1989 r. Pani prezes, reprezentująca jednoosobowo te Fundacje ponad rok poświęcała na przygotowanie i promocję swego pomysłu założenia pod wspólnym szyldem „Dzieci Europy” dwóch prywatnych szkół gimnazjum i szkoły podstawowej. Deklarowała, że jej celem jest zbliżenie dzieci i młodzieży Polski z rówieśnikami z innych krajów oraz umożliwienie im bliższego poznania kultur i społeczeństw. Służąc temu miały m.in. organizowane przez szkołę w czasie ferii i wakacji wyjazdy dzieci za granicę, które uczyniłyby z nich prawdziwych obywateli Europy. Młodzież miała uczyć się trzech języków obcych, grać w tenisa, pływać, jeździć konno, fotografować, zdobywać prawo jazdy, uczyć się tańca, a nawet baletu. Pani prezes planowała także, że Radzie Fundacji przewodniczyć będzie marszałek Sejmu, Olga Krzyżanowska, a jej patronami będą wojewoda Bohdanowicz, poseł Kem i generał Ochocki. Źródłem finansowym Fundacji, której fundusz założycielski wyniósł 2 mln, miała być m.in. działalność gospodarcza w zakresie produkcji, handlu i usług w kraju i za granicą.

Całe to przedsięwzięcie wydało się rodzicom tak imponujące, że gotowi byli płacić najwyższe czesne w Łodzi 400 tys. miesięcznie.

Jedną z niewielu osób, które wówczas odniosły się sceptycznie do zamierzeń p. Góreckiej, była obecna dyrektorka szkół, Lucja Misiewicz-Śnieszko. Gdy dowiedziała się, że ma to być szkoła bez tablic, zeszytów i dzienników, wydała jej się to zbyt dużą awangardą i nie podpisała umowy. Dała się namówić dopiero późną jesienią, gdy ze szkoły odszedł drugi już z kolei dyrektor, a szkoła tonęła w chaosie, wywołanym przez secesję. Właśnie wtedy, gdy pani prezes miała pierwszy sygnał, że rzecz nie idzie po jej myśli.

Zgrzebna rzeczywistość

60 dzieci, czyli w przybliżeniu prawie połowa tegorocznego „naboru” na żądanie rodziców zakończyła edukację w placówkach Fundacji i przeszło do nowej już nie prywatnej, ale społecznej szkoły. Ich rodzice mieli bowiem poważne zastrzeżenia do działalności Fundacji. Ponieważ

Konstytucja 3 Maja w Szacowny

rzenia historyczne, które szczególnie przemawiają do ich wyobraźni. Pierwsze miejsce bezapelacyjnie zajęła bitwa pod Grunwaldem (72,7 proc. wskazań), a dalej Konstytucja 3 Maja (36,7 proc.) i chrzest Polski (33,1 proc.). Wszystkie inne wydarzenia uzyskały mniej niż 1/3 głosów.

Zwraca uwagę przy porównaniu obu list fakt odcierania w świadomości młodzieży popularnych postaci historycznych od wydarzeń, których były one twórcami, na przykład współautorzy Konstytucji 3 Maja uzyskali tylko: Stanisław August Poniatowski 13,1 proc. wskazań jako osoba obdarzona podziwem i sympatią, a Stanisław Staszic i Hugo Kołłątaj po 8,3 proc. Innych, zasłużonych dla uchwalenia Konstytucji 3 Maja osób, takich jak Ignacy Potocki czy Stanisław Małachowski, w ogóle nie wymieniono.

Tu warto zwrócić uwagę na popularność przede wszystkim wydarzeń i postaci związanych głównie z działaniami militarnymi. Wśród bitew, powstań, odsieczy i kampanii wysoka lokata aktu politycznego, jakim była Konstytucja z 1791 r. jest ewenementem. Uczni i artyści, tacy jak: Mikołaj Kopernik, Maria Skłodowska-Curie czy Adam Mickiewicz jako osobistości podziwiane i darzone sympatią uzyskały tylko po 3-6 proc. głosów uczestników sondażu.

Uczniowie i studenci mieli między innymi za zadanie wymienić przynajmniej trzy, ich zdaniem najważniejsze przyczyny, dla których współcześnie obchodzi się uroczystości rocznicę 3 Maja. Sprawiło im to niemały kłopot, gdyż 1-2 przyczyny potrafił wymienić co trzeci (32 proc.), trzy i więcej przyczyn wskazało 38,2 proc., a 29,8 proc. odpowiadających w ogóle nie potrafiło wymienić żadnego powodu.

Motywy podane przez uczestników sondażu w zasadzie przede wszystkim podkreślają wyjątkowość i nowatorstwo Konstytucji 3 Maja. Najczęściej wymieniano takie uzasadnienia, jak: «pierwsza konstytucja w Polsce i w Europie, a druga na świecie», «bardzo postępowa», «nowoczesna», «próba ratowania Rzeczypospolitej i naprawy państwa», «bardzo demokratyczna», «zwrot w polityce państwa», «zmiana skostniałych stosunków», «dowód patriotyzmu i światłej myśli Polaków». Wielu odpowiadających wymieniało poszczególne postanowienia Konstytucji, na przykład zniesienie liberum veto, wolnej elekcji. W niektórych motywacjach można dostrzec się jak gdyby reminiscencje z „Pana Tadeusza, czyli ostatniego zajazdu na Litwie”, bowiem znaczenie Konstytucji 3 Maja motywowane jest jako „ostatni akt patriotycznej troski”, „ostatni zryw Polaków przed utratą niepodległości”, „ostatnia próba

Edukacja

Fundacja nie prowadziła żadnej działalności gospodarczej, podejrzewali, że jedynym źródłem, z którego czerpie pieniądze jest czesne i wpisowe. Pani prezes i jej pełnomocnik odmawiali im wyjaśnień, gdy zgłaszały swoje wątpliwości. Ponadto różnica pomiędzy jej planami a tym, co oferowała, była nadto widoczna.

Ministerstwo Edukacji Narodowej, organ sprawujący wówczas nadzór nad fundacjami oświatowymi, do którego zwróciła się jesienią dyrekcja szkoły, prosząc o skontrolowanie działalności Fundacji „Dzieci Europy”, okazało wobec pani prezes duży dobrej woli. Wtedy jeszcze minister mógł zadziałać szybko, gdyż miał prawo powołać tymczasowy zarząd do nadzoru nad Fundacją (zgodnie z nową ustawą od marca br. orzeka o tym sąd, który teraz nadzoruje fundacjami), ale z niego nie skorzystał. Zażądano tylko od J. Góreckiej sprawozdania z finansowej działalności Fundacji. Okazało się ono powierzchowne i nie przekonywujące, ale zezwalano autorce na przekroczenie terminu na jego uzupełnienie. Sprawozdanie nie dotarło do MEN do dzisiaj.

Wkrótce okazało się, że

dług Fundacji za czynsz i inne świadczenia za dzierżawiony budynek szkolny wobec Przedsiębiorstwa Przemysłu Mięsnego w łodzi wynosi ok. 110 mln. Ta zgrabna sumka uzbierała się od września ubiegłego roku. Przedsiębiorstwo wymówiło Fundacji umowę, zgadzając się jednak z uwagi na dobro dzieci na jej rozwiązanie po zakończeniu roku szkolnego. Niezależnie od tego skierowało sprawę do sądu, aby wyegzekwować od dłużnika pieniądze. Ponadto od października Fundacja nie płaci do ZUS składek ubezpieczeniowych za pracowników. Ma tam dług ok. 60 mln bez odsetek za zwłokę. Miesięczny dochód z czesnego (od stycznia już 650 tys.) wynosi w obu szkołach ok. 60 mln. Placę nauczycieli i administracji szkolnej bez składek na ZUS stanowią ok. 40 mln. Dyrekcja szkoły na początku kwietnia ostrożnie pisze do ministerstwa: „Istnieje podejrzenie, że czesne i wpisowe rodziców w części przeznaczone jest na utrzymanie pozaszkolnych pracowników Fundacji”, czyli m.in. pani prezes, dyrektorki biura i rady prawnej.

Nauczyciele mieli „europejskie” zarobki jeszcze we wrześniu (od 20 do 30 tys. za godzinę), ale ponieważ nie było podwyżek, ich uposażenia

opiniach licealistów i studentów

zabytek

ratowania ojczyzny”.

Niestety, w podawanych uzasadnieniach doniosłości Konstytucji 3 Maja liczne są błędy rzeczowe. Uczniowie i studenci sądzili, że Konstytucja powoływała Komisję Edukacji Narodowej, „nadawała wszystkim prawa obywatelskie”, prowadziła do uwłaszczenia chłopów oraz uzyskania pełnych swobód obywatelskich przez mieszczan i chłopów. Świadczy to o brakach wiedzy historycznej, która tuż przed lub tuż po maturze, można by oczekiwać, powinna być szczególnie dokładna, tymczasem badani ujawnili interferencję rozmaitych faktów i ocen oraz istnienie anachronizmów w świadomości historycznej.

Bardzo częstym uzasadnieniem żywej współcześnie tradycji 3 Maja była motywacja formalna lub wręcz zdawkowa: „bo w tym dniu uchwalono Konstytucję”, „dla podkreślenia ważności tego wydarzenia”, „dla tradycji”, „dla oddania holdu twórcom Konstytucji”, „dla uczczenia Konstytucji”, „bo to było doniosłe wydarzenie w tamtych czasach i dla dzisiejszej Polski”.

W grupie łódzkich licealistów, wprawdzie odosobnionych, ale pojawiły się także motywacje akcentujące inne niż związane z Konstytucją 3 Maja aspekty tego zagadnienia: „obchody jednością Polaków”, „wpływają na ich świadomość”, „zaspokojenie potrzeb inteligencji na posiadanie własnego święta”, „bo w poprzednich okresach zaniedbywano to święto”, „tradycja obchodzenia święta z dwudziestolecia międzywojennego”.

Wśród uzasadnień, jak się wydaje w osobliwy sposób kontestujących oficjalne oceny historyczne, znalazły się także i następujące zdania: «3 Maja jest przykładem jak patriotyczna była szlachta i magnateria w czambuł poddawane krytyce», «obchody jednością Polaków miłujących wolność i tolerancję». Do tej ostatniej grupy motywacji można zaliczyć także interesującą skądinąd ocenę jednego ze studentów: «według mnie 3 Maja nie jest obchodzony uroczysto, ponieważ akademie szkolne, które są przymusowymi uroczystościami, nie odzwierciedlają znaczenia tego święta». Godny uwagi wydaje się również fakt, iż tylko jeden uczeń z Sieradza wskazał na znaczenie 3 Maja jako święta kościelnego dnia poświęconego Matce Boskiej Królowej Korony Polskiej.

Stan wiedzy i wynikających z niego motywacji w zasadzie sprowadza do zapamiętanych z lekcji historii i prawdopodobnie języka polskiego gotowych zdań oceniających w uproszczony sposób znaczenie Konstytucji 3 Maja. Można domniemywać, że dość liczne błędy, jakie

uczestnicy sondażu popełnili w uzasadnieniach są rezultatem posługiwania się gotowymi formułami wartościującymi, których oczekuje od uczniów szkoła. Zapewne mogą zmieniać się treści, sposoby interpretacji i oceny, ale sposób postrzegania ojczyznych dziejów sprowadza się do Gombrowiczowskiego „bo Słowacki wielkim poetą był”. Nie sprzyja to osobistemu stosunkowi do przeszłości i checi dyskusowania jej różnych aspektów. Nic zatem dziwnego, że tylko jeden uczeń na dziesięciu deklaruje duże zainteresowanie historią.

Podsumowując spostrzeżenia z omawianego sondażu można, z zachowaniem ostrożności w uogólnieniach, stwierdzić, że Konstytucja 3 Maja jest wyjątkowo obecna w świadomości uczniów i studentów. Wprawdzie obecność ta ma jak gdyby ceremonialny, odświętny charakter, ale jest powszechna. Wśród zapamiętanych i oddziałujących na wyobraźnię wydarzeń z ojczyznej historii fakt uchwalenia przez Sejm Czteroletni Konstytucji należy do grupy najważniejszych dokonań dziejowych.

Jednocześnie trzeba zauważyć, że powszechnemu zapamiętaniu przez młodzież doniosłości Konstytucji 3 Maja nie towarzyszy głębsza znajomość jej postanowień i faktycznego znaczenia. Przeważają w opiniach wspomniane już formuły szkolno-podrecznikowe, co sprawia, jak się wydaje, że Konstytucja jest postrzegana jako wielce szacowny zabytek, szanowany przez pokolenia, ale mający charakter przede wszystkim obiektu muzealnego. Należy o nim wiedzieć, z szacunkiem się do niego odnosząc, stosunek swój werbalizować poprzez nie pozabawione patosu określenia, ale intelektualne i emocjonalne z nim związki są bardzo ograniczone i praktycznie trudne do uchwycenia.

Prawdopodobnie swoista sakralizacja wiedzy szkolnej przyczynia się do tego zjawiska czyn historyczny, dawny akt polityczny lub inne wydarzenie z przeszłości, kiedy obrasta wartościującymi interpretacjami szkolnymi, staje się składnikiem pewnego kanonu świadomości narodowej i jednocześnie przestaje wzbudzać dyskusje i emocje, zwykle towarzyszące sprawom i problemom otwartym, niespetyfikowanym. Może co najwyżej służyć doraznym interesom i manipulacjom politycznym, które potrzebują historycznej podpórki. Być może w tym właśnie tkwi źródło tak ograniczonego zainteresowania rocznicą 3 Maja, jakie było widoczne w tym roku.

Grzegorz Matuszak

po europejsku?

zrównały się z otrzymywanymi przez kolegów w szkołach państwowych. Od grudnia wypłacane są one nieterminowo. Bywa, że na pensję „zalapuje” się tylko pierwsza piątka z listy, a reszta przez kilka dni żyje z pożyczek.

Wyposażenie szkół Fundacji jest na poziomie przeciętnej państwowej szkoły na prowincji. Nauczyciele języków obcych (uczy się tu dwóch, a nie trzech języków) mają do dyspozycji jeden magnetofon. Za kilka komputerów starej generacji, które nie nadają się do wykorzystania w gimnazjum, Fundacja do tej pory nie zapłaciła Politechnice Łódzkiej. Sprzet audiowizualny, który miał zastąpić tablice i zeszyty, nigdy się nie pojawił. Fundacja zainwestowała dotąd w pomoce szkolne 3 mln., choć z wpisowego, pobieranego od każdego dziecka przyjmowanego do szkoły uskuladłoby się jak twierdzi dyrektorka szkół ok. 76 mln. O jeździe konnej, balacie itp. nie było w ogóle mowy. Dopiero od drugiego semestru młodzież zaczęła chodzić na basen.

Nowy „pracodawca”

Tylko mało spostrzegawczy rodzice nie zauważyli, że w marcu na kwitach otrzymywanych za wpłacone czesne widnieje stempel nie Fundacji, ale Przedsiębiorstwa Handlowo-Usługowego „Salamandra”. Co jest grane? pytali zaniepokojeni rodzice i nauczyciele. 12 marca zostali poinformowani, że ze względu na niewypłacalność Fundacji sprawy organizacyjno-finansowe szkoły zostały przejęte przez osobę prywatną, Kazimierza Szulca, właściciela firmy „Salamandra”. Człowiek ten nie był im obcy. Był to bowiem ojciec czworga dzieci, uczących się w tej szkole i dotychczasowy pełnomocnik Fundacji. Kilka tygodni później nauczyciele dowiedzieli się, że nie pracują już w szkole Fundacji „Dzieci Europy”, ale w... Szkole Prywatnej nr 1, a ich pracodawcą jest Kazimierz Szulc. Umowy, jakie szef „Salamandry” wyczerzył pracownikom obu szkół, kończą się 30 czerwca, choć z poprzednim pracodawcą siegają 31 sierpnia, a nawet w niektórych wypadkach dłużej. Kwestia zapłaty za wakacje pozostała otwarta. Dyrektorka szkół otrzymała od p. Szulca dyscyplinarne zwolnienie z pracy z wyjaśnieniem, że „nasze drogi się rozeszły, bo pani nie uznaje mnie jako właściciela szkoły”.

„Wszelkie umowy i wypowiedzenia, wreczane przez p. Szulca nie mają żadnej mocy prawnej zapewnia wicekurator Gniazdowski. Nie ma on przecież zgody z ministerstwa na utworzenie szkoły. Szkoła Prywatna nr 1 nie istnieje”. Wicekurator odpiera zarzuty rodziców i nauczycieli, którzy mają za złe kuratorium, że dopuściło do takiej sytuacji: „Nie mamy prawa ingerować w sprawy finansowe szkoły. Jest to przecież placówka prywatna. Możemy interweniować w przypadku spraw dydaktycznych i warunków lokalowych, ale dotąd nie było zastrzeżeń”. Andrzej Barański, wicedyrektor biura prawnego w MEN twierdzi, że to jedyna spośród 26 fundacji oświatowych w kraju, z którą jest tyle kłopotu. Ministerstwo gromadzi „materiał dowodowy”, gdyż zamierza wystąpić do sądu w sprawie wyznaczenia zarządu tymczasowego nad Fundacją „Dzieci Europy”.

Kazimierz Szulc, choć czuje się panem na włościach, długów Fundacji nie spłaca. Na spotkanie z Komitetem Rodzicielskim pod koniec kwietnia, na którym miał rozliczyć wpływy i wydatki Fundacji, nie przybył. Akta personalne nauczycieli trzyma w sejfie, do którego ma wyłączny dostęp. Wtrąca się do decyzji Rady Pedagogicznej. Gdy np. Rada postanowiła usunąć jednego z uczniów ze szkoły, szef „Salamandry” to zakwestionował, pocieszając chłopaka, że „nie ma sprawy”. Zresztą, idea liberalnego wychowania przyświeca tej placówce od początku. Dzieci pani prezes mogły bezkarnie lekceważyć nauczycieli, znajdując obrońców w mamie. Od marca w ogóle nie chodzi do szkoły.

Kilkunastoosobowa grupa rodziców i nauczycieli założyła w marcu Towarzystwo Oświatowe „Edukacja” i chce przenieść szkołę. Pertraktują już z przedsiębiorstwem miesnym w sprawie dzierżawy budynku. Byłaby to jednak szkoła społeczna, której budżet byłby jawnie rozliczany zastrzegając rodzice. Są zmezczeni tą caloroczną szarpaniną. Nauczyciele także. Ale to oni uwierzyli Jadwidze Góreckiej, że chce wychowywać młodzież „w poszanowaniu pracy, poczuciu piękna i godności”, choć do dziś nie wiedzą, kim ona właściwie jest i czym zajmowała się, zanim wpadła na pomysł założenia Fundacji „Dzieci Europy”.

Joanna Leszczyńska

J. Górecka nie zgodziła się z mną rozmawiać. Natomiast K. Szulc postarał się, aby nasza rozmowa nie doszła do skutku.

Głośny konflikt wokół „DŁ”

Pierwszą osobą, która weszła do redakcji „Dziennika Łódzkiego” w niespełna kwadrans po zawieszeniu redaktora naczelnego, Konrada Turowskiego, był red. K. Badiak, autor notatki „Ersantka-kolaborantka” przedrukowanej w „DŁ” z wyraźnym zastrzeżeniem redakcyjnym z „Solidarności Ziemi Łódzkiej”. Nazajutrz „Gazeta Łódzka”, powołując się na słowa pełnomocnika Komisji Rządowej d/s Likwidacji RSW „Prasa”, doc. dr. M. Zirk-Sadowskiego, podała, że właśnie bezpośrednim powodem zawieszenia red. Konrada Turowskiego stała się... ta notatka, choć wcześniej przecież zamieszczona w tygodniku «SZŁ», redagowanym przez posła Stefana Niesiołowskiego, jakoś nie zwróciła uwagi ani żadnych czynników oficjalnych, ani przedstawicieli francuskiego koncernu prasowego Roberta Hersanta...

Głośny konflikt wokół „DŁ” zdaje się wciąż trwać. Red. Zdzisław Pietrasik z „Polityki” nie przyjął stanowiska redaktora naczelnego. Upadł też pomysł sprowadzenia do Łodzi jednego z redaktorów Radia Wolna Europa. Ostatnio mówi się już tylko o miejscowych kandydatach, nie

wykluczając red. K.B. czy dotychczasowego rzecznika prasowego prezydenta Łodzi. Tym bardziej prawdopodobne to kandydatury, że mimo publicznych zapewnień, iż „DŁ” nie stanie się organem jednej partii politycznej, a nowi właściciele będą respektować niezależność gazety, na ogół dobrze poinformowana „Gazeta Wyborcza”, powołując się na Komisję Likwidacyjną RSW w Warszawie, podała o najzupełniej świadomym sprzedaniu „DŁ” Zjednoczeniu Chrześcijańsko-Narodowemu...

Na razie więc ograniczamy się do przedstawienia dokumentu przygotowanego przez Fundację Wolnej Prasy Łódzkiej, która korzystając z dość szerokiego poparcia społecznego występowała z alternatywnym wnioskiem rozwiązania problemu własności „DŁ”. Raport zamieszczamy bez komentarza, jedynie informując, że prezentowany jest po raz pierwszy, choć został sporządzony i rozpowszechniony prawie dwa miesiące temu, i „Odgłosy” nie zabiegają o prawo wyłączności do tej publikacji.

(p)

Raport

w sprawie

odradzania się struktur komunistycznych w prasie na przykładzie „Dziennika Łódzkiego”

Przed wszystkim za sprawą Krajowego Komitetu Obywatelskiego i Porozumienia Centrum na łamach prasy toczy się szeroka dyskusja na temat „filozofii grubej kreski” i „komunistycznej recydywy”. Wszelkie publikacje na ten temat mają charakter ogólny i nieco abstrakcyjny. Konkretną ilustracją jest sprawa „Dziennika Łódzkiego”.

W przedstawionym poniżej przypadku „czerwone podnosi leń” za parawanem zachodniego kapitału i przy aktywnym poparciu niektórych sił politycznych o solidarnościowym rodowodzie.

27 lutego b.r. Rada Miejska w Łodzi, w wyniku porozumienia między ZChN a Unią Demokratyczną, podjęła uchwałę uprawniającą Zarząd Miasta do przystąpienia do spółki z francuskim koncernem prasowym R. Hersanta spółka „Socpresse” w sprawie zakupu „Dziennika Łódzkiego”. Radni z klubu Porozumienia Centrum wystąpili przeciwko tej uchwale i przedstawili szereg merytorycznych zastrzeżeń, wskazując m.in. na powiązania spółki „Socpresse” ze spółdzielnią utworzoną przez stary zespół „DŁ”, w oparciu o którą zamierza przystąpić do przetargu. Na ten stary zespół składają się byli pracownicy „DŁ”, którzy osiągnęli odpowiedni wiek i odeszli już na emeryturę oraz ci, którzy odmówili pracy w rozwoju gazety, znajdując sobie pracę gdzie indziej lub woleli korzystać z wielomiesięcznych zwolnień lekarskich, czekając na powrót starych struktur „DŁ”, w czasie stanu wojennego wyróżniał się spośród innych redakcji najwyższym wskaźnikiem PZPR-owskiego uprzywilejowania zespołu, wyższym nawet niż organ K.W.

Nowy zespół „DŁ” zaczął się tworzyć w połowie sierpnia 1990 r., gdy red. K. Turowski (wyrzucony z pracy 13 XII 81 r.) otrzymał nominację na stanowisko redaktora naczelnego. W skład zespołu weszli przedstawiciele różnych orientacji politycznych z wpisaniem w życiorysy wyrokami więzienia, internowania, wyrzucenia ze studiów i z pracy oraz innymi represjami stosowanymi w systemie totalitarnym w walce z Solidarnością i wolnym słowem.

Redaktor K. Turowski otrzymał nominację Komisji Likwidacyjnej RSW Prasa w sytuacji niejako wymuszonej wynikiem tajnego głosowania nad wnioskiem pełnomocnika Komisji Likwidacyjnej w Łodzi o przyjęcie do Spółdzielni Pracowniczej „DŁ” czterech dziennikarzy tej redakcji wyrzuconych z pracy w stanie wojen. Otóż w tajnym głosowaniu na 25 dziennikarzy „DŁ” aż 22 głosowało... przeciwko przyjęciu represjonowanych kolegów. Takiego wyniku nie można już było traktować inaczej jak jawną prowokację polityczną tak silnie i głęboko scementowanego zespołu „DŁ” wobec zachodzących przemian demokratycznych w kraju.

Choć Komisja Likwidacyjna właściwie nie udzieliła jakiegokolwiek pomocy red. K. Turowskiemu w formowaniu nowego zespołu w miejsce odchodzących na własną prośbę starych dziennikarzy, a nawet jawnie utrudniała ten proces, dając posłuch różnym bezasadnym skargom (w listopadzie przew. J. Drygalski wprost mówił publicznie na konferencji prasowej o „konflikcie w zespole „DŁ”, któremu bacznie się Komisja przygląda...), oraz odmawiając zwolnienia z pracy tych osób, które ostentacyjnie ograniczały kontakty z redakcją do odbierania pensji, czy też odmawiając zgody na obsadzenie stanowiska zastępcy red. nac., to w stosunku do sytuacji zastanej udało się podwoić nakład, prawie dwukrotnie zwiększyć objętość gazety, a zysk na koniec roku

powiększyć aż czterokrotnie, co też zdecydowało walnie o wysokiej cenie wywoławczej „DŁ.” (8 mld złotych).

21 marca Komisja Likwidacyjna RSW Prasa w Warszawie dokonała otwarcia ofert na kupno „DŁ.”. Integralną część oferty przedstawionej przez spółkę „Prasa Łódzka”, w składzie której jest m.in. koncern prasowy R. Hersanta oraz Zarząd Miasta Łodzi, stanowił list podpisany przez... 17. dziennikarzy starego, skompromitowanego zespołu. Wiceprzewodnicząca ZG SDP, red. Iwona Katarasińska-Śledzińska, natychmiast oświadczyła, że „wśród sygnatariuszy są znane jej osoby, które uczestniczyły w weryfikacjach dziennikarzy w stanie wojennym”.

Zespół redagujący „DŁ.” wystosował list otwarty do przewodniczącego Komisji Likwidacyjnej w Warszawie, w którym stwierdził, że oferta spółki „Socpresse” jest „moralnie i politycznie naganna poprzez fakt jaskrawego powiązania z najbardziej posłusznymi wykonawcami poleceń totalitarnej propagandy reżimu komunistycznego”. Zaś grupa radnych miejskich wydała oświadczenie, w którym wyraża oburzenie i sprzeciw wobec „tak wyraźnego powiązania Zarządu Miasta z grupą skompromitowanych osób, szczególnie posłusznych wykonawców poleceń propagandowych władz komunistycznych w stanie wojennym”. Również w liście otwartym do przew. Rady Miejskiej sekretarz Zarządu Oddziału SDP, red. Małgorzata Golicka-Jabłońska, weryfikowana 4 I 82 r. przez Renate Sas, jedną z sygnatariuszy listu 17. popierającego spółkę „Socpresse”, pisała: „czy jest etyczne, aby z takim tupetem upominali się oni o swoje prawa nie dając zadośćuczynienia tym, których krzywdzili? Nie tak dawno „prawdziwy” zespół „DŁ.” tak dalece pochłonięty problemami kadrowymi odmówił większości głosów prawa powrotu do redakcji usuniętych z niej w stanie wojennym kolegom. Ponadto do dnia dzisiejszego nikt z nas nie otrzymał od tych, którzy nas sądzili ani jednego słowa przeprosin. Czy jest wreszcie fair, aby autorzy listu wyrażali publiczne zatroskanie o polityczną niezależność prasy, skoro w krytycznych momentach nie byli w stanie zdobyć się na jakąkolwiek niezależność?”

Żywie głęboką nadzieję, że zechce Pan Przewodniczący w imię elementarnych zasad sprawiedliwości podjąć w tej sprawie stosowne poczynania, aby Ci, którzy mieli kiedyś odwagę przeciwstawić się złu nie czuli się upokorzeni po raz wtóry.”

Zaowocowało to szeregiem oświadczeń P. Wojciechowskiego, rzecznika prasowego Prezydenta Miasta Łodzi, publikowanych w centralnej i łódzkiej prasie, w których dystansował się on od osób skompromitowanych w okresie stanu wojennego i wyrażał dezaprobatę wobec „ewentualnych propozycji zatrudnienia w zespole „DŁ.” osób, których postawa moralna budzi poważne zastrzeżenia środowiska dziennikarskiego.”

Zdaniem rzecznika inicjatywa 17. dziennikarzy, którzy wyrazili poparcie dla koncernu R. Hersanta, miała miejsce bez wiedzy Zarządu Miasta, a kierowane do Komisji Likwidacyjnej poparcie z jakiegokolwiek strony może mieć miejsce bez woli i akceptacji udziałowców.

Również przewodniczący Rady Miejskiej, A. Ostojka-Owsiany, w swym oświadczeniu oznajmił: „z całą stanowczością stwierdzam, że wspomniana grupa nie jest stroną czy udziałowcem spółki „Prasa Łódzka, w której skład weszła gmina.”

cd. str 6

Raport w sprawie „Dziennika Łódzkiego”

cd. str 5

Chce dodać, że każdy może do Komisji Likwidacyjnej RSW składać swoje wyrazy poparcia dla którejkolwiek ze stron. Nie oznacza to wcale, że zainteresowany tego poparcia pragnie i że z oferty skorzysta. Osobiście mogę zapewnić, że żadna ze skompromitowanych w stanie wojennym osób, a szczególnie tych, które brały udział w weryfikacjach dziennikarzy, nie znajdzie się w składzie zespołu redakcyjnego tej gazety.”

Osoby uczestniczące w otwarciu ofert do dziś nie mogą się otrząsnąć ze zdumienia, że stały się zatem ofiarami iluzji i halucynacji. Obecny przy otwarciu ofert rzecznik prasowy Prezydenta Łodzi i przedstawiciel koncertu Hersanta nie złożyli wówczas żadnych sprostowań ani zaprzeczeń wobec listu 17. dziennikarzy.

26 marca, na dwa dni przed ogłoszeniem wyniku przetargu, o godz. 16.30 prof. dr Marek Zirk-Sadowski, pełnomocnik Komisji Likwidacyjnej RSW, którego trudno posadzić o obiektywizm, z upoważnienia przewodniczącego tejże Komisji zawiesił Konrada Turowskiego w obowiązkach redaktora naczelnego aż do odwołania, powołując na jego miejsce jako p.o. red. naczelnego Zygmunta Chabowskiego, jednego z sygnatariuszy listu 17., bez podania uzasadnienia podjętej decyzji.

Nowy naczelny wraz z wydelegowanym do strzeżenia w redakcji «moralnego porządku» red. Karolem Badziakiem, rzecznikiem dyscyplinarnym łódzkiego oddziału SDP, autorem najbardziej «mocarzowskich» publikacji w 68 roku, natychmiast przystąpili do działania. W drukarni na skutek ich cenzury wycofano z wtorkowego (27 III) numeru gazety siedem artykułów, m.in.: przedruk artykułu z „Życia Warszawy” pt. „Zespół woli Maxwella”, artykuł dziennikarza „D.L.”. Maciejewskiego, w którym zespół gazety przedstawił swoje stanowisko wobec toczącego się konfliktu, przedruk artykułu Krzysztofa Bobińskiego z „Financial Times” pt. „Angielsko-francuska bitwa prasowa w Polsce”, odpowiedź red. Iwony Śledzińskiej-Katarasińskiej na oświadczenie rzecznika Prezydenta Łodzi, P. Wojciechowskiego, w sprawie stanowiska zajętego przez niego w trakcie ujawniania ofert zakupu „D.L.” w Komisji Likwidacyjnej.

Już po rozstrzygnięciu przetargu (jak wiadomo „D.L.” przyznawo wbrew stanowisku zespołu spółce „Prasa Łódzka”) łamy gazety szeroko udośćwiono dla sprostowań i oświadczeń J. Barskiego,

J. Szelewskiego, R. Sas, sygnatariuszy listu 17., mających znamiona zniesławiania red. K. Turowskiego i red. Goliczkiej-Jabłońskiej. J. Szelewski, „zasłużony” publicysta „Głos Robotniczy”, organu KŁ PZPR, w okresie stanu wojennego, zagalopował się w „szczerych enuncjacjach” do tego stopnia, że wyznał: „Uważam się za fachowca i uczciwego człowieka. Jeśli teraz „D.L.” odrodzi się i stanie się prawdziwą gazetą na razie oczywiście w intencjach chętnie związę z nim swój los.”

Jednocześnie do „D.L.” zaczęli powracać i na jego łamach publikować „prawdziwi dziennikarze”, kolejni sygnatariusze listu 17. popierające go spółce „Socpresse”.

Do redakcji „D.L.” wrócili m.in. ludzie, których trudno obciążać wszystkimi winami komunizmu, ale którzy z całą pewnością z odnową się nie kojarzą. Natomiast na bruk lecą ludzie jak K. Turowski (inni czekają w kolejce), którzy nie muszą swego solidarnościowego rodowodu fabrykować naprędce. Ale gazeta rzeczywistości „stała się normalna”, jak za komuny. Do tego stopnia, że zabrakło w niej miejsca dla publikacji stanowiska Demokratycznej Unii Kobiet, Polskiego Centrum Demokratycznego, Unii Zdrowego Rozsądku, Ruchu Wolnych Demokratów w sprawie zawieszenia K. Turowskiego w obowiązkach redaktora naczelnego, w którym czytamy m.in.:

„Konsekwentne kształtowanie przez red. K. Turowskiego „Dziennika Łódzkiego” w silną, prężną i dochodową codzienną gazetę lokalną, otwartą na bolączki i problemy społeczności aglomeracji łódzkiej, stwarzające załączki faktycznie niezależnej instytucji życia publicznego, zostało w sposób brutalny, zaskakujący opinie publicznej, przerywane.

Śledzącej wyniki działalności red. K. Turowskiego i prace kierowanego przez niego zespołu dziennikarskiego opinii publicznej nie mogą być obojętne powody arbitralnej decyzji. Opinii publicznej taka powielająca najgorsze wzory metoda traktowania ludzi nie może być obojętna. Sposób i okoliczności, w jakich te decyzje

podjęto, jest sprzeczny z zasadami demokratycznego państwa prawnego, jakim zgodnie z konstytucją RP ma być Rzeczpospolita Polska.

Kariera dziennikarska red. Konrada Turowskiego, w najbardziej twórczym okresie życia, została przerwana weryfikacją przeprowadzoną przez realizatorów stanu wojennego w środowisku dziennikarskim. Pełen zapału powrócił do wybranego świadomie zawodu, w nowej rzeczywistości. Skonsolidował wokół siebie prężny zespół dziennikarski, który w zdecydowanej większości opowiedział się za jego wizją gazety.

Prezentując powyższe zwracamy się do Rady Miejskiej w Łodzi oraz Posłów i Senatorów Ziemi Łódzkiej z prośbą o ocenę i zajęcie stanowiska w tej sprawie oraz o spowodowanie wszechstronnego wyjaśnienia opinii publicznej powodów i okoliczności arbitralnej decyzji zawieszającej redaktora Konrada Turowskiego w obowiązkach zawodowych, których efekty są wymierne, sprawdzalne i rokujące dalszy rozwój „Dziennika Łódzkiego” w interesie mieszkańców aglomeracji łódzkiej. Prosimy o podjęcie skutecznych, demokratycznych działań prowadzących do odwołania redaktora Konrada Turowskiego.”

Sprawa ma niewątpliwie charakter politycznego skandalu. Jak dotąd żaden z łódzkich solidarnościowych posłów i senatorów, jak również Rada Miejska nie zajęła stanowiska.

W przypadku „D.L.” jesteśmy też świadkami niezwykle egzotycznego sojuszu: Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, Unii Demokratycznej, zachodniego kapitału i zasłużonego PZPR-owskiego betonu reprezentowanego przez wymienionych już 17. dziennikarzy.

Sprzedając spółce „Socpresse” dwóch łódzkich (i nie tylko) najbardziej wysokonakładowych tytułów budzi również poważne zastrzeżenia w kwestii monopolizacji prasy. Chociaż rzecznik prasowy Urzędu Antymonopolowego, Ryszard Hoffman, w „Expresie Wieczornym” z dn. 4 IV 91, na pytanie czy faktycznie z formalnego punktu widzenia nie ma żadnego niebezpieczeństwa w związku z umacnianiem się zachodniego «rekiną prasowego» na łódzkim (i nie tylko) rynku wydawniczym odpowiedział, że... nie, to:

Ustawa z dnia 24 lutego 1990 r. o przeciwdziałaniu praktykom monopolistycznym (Dz. U. nr 14/1990, poz. 88) wyróżnia i definiuje dwa pojęcia: „pozycja monopolistyczna” i „pozycja dominująca”. Przez **pozycję monopolistyczną** rozumie się pozycję podmiotu gospodarczego, polegającą na tym, że podmiot ten nie spotyka się z konkurencją na rynku krajowym lub lokalnym, natomiast przez **pozycję dominującą** rozumie się pozycję podmiotu gospodarczego, polegającą na tym, że podmiot ten nie spotyka się z istotną konkurencją na rynku krajowym lub lokalnym. Domniemywa się, że podmiot gospodarczy ma pozycję dominującą, jeżeli jego udział w rynku przekracza 30%. (art. 2, pkt 6 i 7 cyt. ustawy)

Ustawa stwierdza również, że praktykami monopolistycznymi są praktyki polegające na nabywaniu udziałów lub akcji spółek, bądź majątku podmiotów gospodarczych, jeżeli skutkiem takiego nabycia mogłoby być istotne osłabienie konkurencji (art. 4, ust. 1, pkt 3), bądź ograniczenie dostępu do rynku lub eliminowanie z rynku podmiotów gospodarczych nie objętych porozumieniem (art. 4, ust. 2, pkt 4). Dokonując teraz subsypcji stanu faktycznego do stanu prawnego, przyjąć należy do wniosku, że działania koncertu prasowego Roberta Hersanta „Socpresse” nosi wszelkie znamiona praktyk monopolistycznych poprzez tworzenie pozycji monopolistycznej i dominującej na rynkach lokalnych.

Do takiego stwierdzenia upoważnia fakt, że koncert ten zakupił w Gdańsku dwie wiodące gazety o najwyższym nakładzie („Dziennik Bałtycki” i „Wieczór Wybrzeża”), a następnie dwa wysokonakładowe tytuły w Łodzi, co daje 50% udziału w rynku.

W tej sytuacji stwierdzić należy, że według definicji ustawy koncert ten osiągnął pozycję dominującą, a zgodnie z art. 6 cyt. ustawy działania takie są zakazane.

W takim przypadku Urząd Antymonopolowy winien wydać decyzję nakazującą zaniechanie tych praktyk (art. 8 cyt. ustawy).

Dodać jeszcze można, że organy antymonopolowe posiadają szereg instrumentów do tego, aby wymusić na podmiocie gospodarczym zastosowanie się do wymogów ustawy.

Powyższe zastrzeżenia skierowaliśmy do Urzędu Antymonopolowego.

Było nas czworo: Helena Dębska (świetna tłumaczka z czeskiego), prozaik i energiczny działacz związkowy Leszek Prorok, krytyk Feliks Fornalczyk i ja. Tym się od nich przejściowo jeszcze różnie, że ja dotychczas żyję.

Helena Dębska szukała w Pradze jakiejś zjawiskowej nowej prozy. Bardziej jednak, jak pamiętam, przykładała się w nadwielitawskiej stolicy obuwia do kupna tak zjawiskowych pantofli, które byłyby i modne, i z niskim obcasem, i były i dziś tak samo jak wtedy wygodne. Mianowała mnie swym asystentem od chodzenia po „salonach obuwniczych”. Obeszliśmy kilkadziesiąt par kilka razy, gdyż już zapomniała w jakich była, a w jakich nie, wskutek czego ekspedientki na nasz widok chowały się pod ludy.

Leszkowi Prorokowi, który wówczas jeszcze mieszkał (podobnie jak Fornalczyk) w Poznaniu i stale coś ważnego w dziedzinie kultury organizował, zależało m.in. na dogadaniu się z szopenologami czeskiemi, ażeby muzeum w Mariańskich Łaźniach wypożyczyło Poznaniowi na jakieś «dni» swoje szopeniada i żeby czeskie sławy przyjechały doń z koncertami. Z jego działań utkwilo mi najbardziej jedno. Zwiędzamy owo muzeum szopenowskie w Mariańskich Łaźniach. Jednym z głównych eksponatów jest tam stolik, przy którym żegnali się płacząc i obejmując przed wieczną rozłąką Szopen i Maria Wodzińska. Zbliżyła się godzina osiemnasta czas zamykania muzeów przed szeregowymi zwiedzaczami. Stół-eksponat zmienia się momentalnie w stół mebel gościnny i rozgrywa się scena też z panną, ale nie Wodzińską, i bez placzu. Wyjmujemy, co tam mamy w aktówkach z baterii wiezionych na użytek domowy śliwowiec. Panna Kustosza Lidka jej było wyciąga z szafki jakieś swoje żelazne zapasy: knedliki i herbatniki. Pijemy. Pamiętam tylko, że robi się nam niezwykle wesoło i że pijemy po kolei z ową Lidką, z którą nigdy więcej się w życiu nie spotkamy, strzeliste, chyba ważne do dziś, bruderszafty.

Feliks Fornalczyk pojechał, o ile się orientuje, tylko by spełnić zalecenie Mikołaja Reja w „Iywocie człowieka poczciwego”, „iżby młodź za młodu do inszych krajów jeździła, aby obaczyć, czym by podpatrzonymi tam kunsztami ojczysty lan użyć”.

Ja zbierałem materiały do książki, która ponoć dopiero w tym roku, wyroki pytyjskie mówią: wyjdzie nie wyjdzie. Książka powie nie powie o internowanych na Morawach powstańcach Langiewiczza i ich ucieczkach dzięki pomocy Czechów znowu na pola bitew. Więcej nie ma sensu mówić o niej, gdyż jeśli wyjdzie, czytelnik sam przeczyta, a jeśli nie, to zgola nie byłoby sensu opowiadać.

W owym poszukiwaniu materiałów dzielnie mi dopomagał (też już nie żyje! Co ci ludzie robią najlepszego?) profesor katedry literatury polskiej w Karolinum (uniwersytet starszy nieco od Jagiellońskiego) Karel Krejci. Akurat pracował nad dużą monografią historii literatury polskiej. Chwalił się, że wsz: stkie dzieła literatury polskiej ma tu na miejscu. Właściwie brak mu tylko jednego „Tredowatej” Mniszkówny. Nie chwalać się, po powrocie do domu przyczyniłem się ofiarnie, z uszczupleniem własnego księgozbioru, żeby profesor monografię swoją, obszerną i obfitą, zwyczajnie ukończył.

Dreszczowiec

cd. str 1

przyjąc, iż reprezentuje ona jedynie jakąś końcową fazę, przez którą człowiek i ludzkość musi przejść, i którą człowiek jeśli przeżyje w kofcu przewycięży na jakimś poziomie wyższym, ale bez obecnej fazy nie do pomyślenia.

Jakkolwiek by nie było, jest rzeczą pewną, że cała ta racjonalistyczna orientacja nowych czasów rezygnując z autorytetu mitów ulega wielkiemu i niebezpiecznemu złudzeniu: wydaje jej się, że owe wyższe i tajemne siły, których mity w jakiś sposób dotyczyły, których istnienie dokumentowały i których relatywną „kontrolę” zapewniały, nie istnieją ani w ludzkiej podświadomości, ani w tajemniczym kosmosie. Dziś przeważa pogląd, że wszystko można w sposób tak zwane rozsądny wyjaśnić za pomocą logicznego opisu czujnego rozumu. Niczego ciemnego nie ma, a jeśli coś takiego istnieje, to trzeba na to rzucić promień poznania naukowego, a owo „coś” przestanie być ciemne.

Jest to wszakże jedynie wielkie złudzenie nowoczesnego ducha. Tysiącokrotnie bowiem można to twierdzić, tysiącokrotnie zaprzeczać istnieniu owej „odwróconej strony” świata i duszy ludzkiej, a jednak nigdy na skutek takich twierdzeń nie przestanie ona istnieć. Zepchnię ją to jedynie w cień jeszcze głębszy. W najlepszym przypadku osiągniemy to, że cały ów złożony świat „skrytego” znajdzie sobie zastępcze, zamaskowane i co gorsza mylące sposoby przejawiania się, a „porządek” wnaszany ongiś do tego świata przez mit, dzięki któremu człowiek choć trochę mógł się orientować w działających tu siłach i mieć, choćby ograniczoną, kontrolę nad nimi zniknie wraz z mitem. Owe „nocne siły” będą oddziaływać nadal, za to już w sposób całkowicie chaotyczny i nie kontrolowany. Będą wciąż na nowo konsternowały człowieka przez swą dla niego już absolutnie

Dzięki profesorowi poznałem w Pradze inne jeszcze polonicy, o których w Polsce się nie mówi, a może nawet i nie wie. Pierwsze to monumentalny, klasyczny z elementami wczesnego rokoka pałac przy Starym Rynku, w którym urodził się z matki księżnej czeskiej Kinskiej i z ojca ziemianina czeskiego kosmopolity jeden z najbardziej polskich i najpiękniejszych naszych bohaterów narodowych książę Józef Poniatowski. W najstarszej części wielkiego starego cmentarza praskiego pokazał mi profesor właśnie grób księżnej Kinskiej osoby, która nigdy w państwie swego królewskiego szwagra nie była, z języka Sarmatów nie znała być może ani jednego słowa, a przecież jako matkę swego ukochanego wodza żołnierze spod Smoleńska, Borodino i Lipska ufundowali wzruszającą tablicę właśnie w języku, którego nie znała i odrestaurowali nagrobek.

Trzecie polonicyum jest znacznie mniejszej rangi i wagi, ale swoiście osobliwe. Jest to usytuowany obok cmentarza żydowskiego (sięgającego swą metryką bodaj późnego średniowiecza) grób

Epizody

Rokiczany jednej z bardziej znanych, acz odrzuconej potem faworyty Kazimierza Wielkiego. Także zapaliłem przy nim świeczkę. Bądź co bądź faworyta też jest w okresie swego... panowania nad królem trochę jakby i monarchia. Nie jestem tak bardzo pewny, czy we Francji jacyś nadsekwańscy kochający przeszłość swego kraju nie pochylają się z niejakim wzruszeniem nad grobami (o ile przetrwały wielką rewolucję) mesdames: Pompadour i Dubarry.

Nad pewnym znakomitym grobem staliśmy we trójce (we trójce, bo Heleny jakoś nie interesowało zwiedzanie). Na nowym cmentarzu żydowskim leży bowiem Franz Kafka. Upał wprost biblijny, więc każdy z nas z gołą głową. I to się odzwierciedla „szabesgowej” niesłychanie nie podobalo. Szczęście, że kupiłem białą cyklistówkę dla synka. Prorok wyjął z kieszeni chusteczkę do nosa i zwiąawszy z każdej strony fikuśne węzki ułożył ją sobie na włosac. Ale Fornalczyka odzwierciedlał dopiero, gdy ów położył sobie na głowę torebkę z damskimi pończochami, które właśnie kupił dla żony. Grób Kafki uczynił na nas wrażenie dość niesamowite. Ani jednego kwiatka, ani jakiegos symbolu, do którego przyzwyczailiby się nasze bywałe oczy. Mogiła to przyna nasupanych kamieni. Przed nią dodatkowa paka pełna dalszych kamieni do rzucania. Pierwszy raz coś takiego widzieliśmy nawet na cmentarzach żydowskich. Może dziwactwo, a może prastary zwyczaj przeniesiony jeszcze z biblijnych czasów tulaćki po Półwyspie Synajskim, gdzie trzeba było zwłoki szczerle przykrywać przed żarłocznością sępów i hien? Dokonałmy więc tego swoistego odpowiednika naszego zwyczajnego „niech mi ziemia lekka będzie” w postaci kamieniobicia (!)

Teraz taki zapamiętany epizod: cała czwórka wraz z Heleną (przy czym Helena odgrywa tu główną rolę jako stara znajoma) składamy wyzycie

nie do wyjaśnienia obecność, prześwitującą przez szatę nowoczesności, w której się ukryły. I nie na tym koniec: wraz z ciemnymi siłami pogrzebano jako siły właściwie również ciemne i siły dobra. Olimp zlikwidowano jako całość: wraz z jego szaleńcami i sprawiedliwymi. Nie ma więc już nikogo, kto by zło karał i odpędzał strachy. Dobro zamierza w swej uprzejmości brać ów pogrzeb poważnie i zniknąć; zło, przeciwnie, czuje, że nadeszła jego godzina: ludzie przestali bowiem w nie wierzyć.

Do dziś nie pojmujemy, jak mógł wielki i kulturalny naród europejski czy przynajmniej znaczna jego część ulec w XX wieku przedziwnej fascynacji jednym śmieszny i skomplikowanym drobnomieszczaninem, jak mógł uwierzyć w jego pseudonaukowe teorie i w jego imieniu mordować narody, zdobywać kontynenty, dopuszczając się niewiarygodnych okrucieństw. Nauka pozytywistyczna, łącznie z marksizmem, proponuje różne naukowe interpretacje tego zagadkowego zjawiska. Owe wyjaśnienia jednak bardziej tylko jeszcze podkreślają, niż usuwają jego niezrozumiałość. „Obiektywny” chłodny rozum bowiem, który do nas z tych wyjaśnień przemawia, właściwie jedynie uwypukla dziwną dysproporcję między sobą siłą dla obecnej cywilizacji decydującą, a owym masowym szaleństwem, nie mającym z żadnym rozumem nic wspólnego.

Tak oto wraz z tradycyjnym mitem pogrzebano i jaki taki „ład” w ciemnych obszarach naszej egzystencji. A to, czym nowoczesny rozum usiłuje ów ład zastąpić, czy też to, w czym owe ciemne obszary (lub przynajmniej ich niektóre siły) znajdują swój „porządek zastępczy” i „nowoczesny wyraz” okazuje się znów być czymś bezywyciowym, fałszywym i zgubnym, ponieważ zawsze jest jakoś pokretne, zastępcze,



najwybitniejszej tłumaczce prozy polskiej Helenie Teigowej (też już nie żyje!). Przyjmuje nas w salonie, czestuje kawą w filiżankach bodaj z sewskiej porcelany. Powiało wielkim dworem.

zza Tater

Nastrój salonu, uprzejmość pani domu, połączona z poczuciem godności własnej. Przez pierwszy kwadrans czulem się trochę jak nasi wieszczowie w bawialni Goethego. Ale tylko przez pierwszy kwadrans. Przez drzwi przemknął i usiadł koło mnie bodaj mąż pani domu, jakkolwiek inne nosił nazwisko, co jest w sferach artystycznych i literackich typowe, gdyż nazwisko ma wartość handlową i historyczną. Przybyły pan był znacznie mniej dostojny od tłumaczki wszystkich bodaj wielkich naszej prozy z feramskim na czele. Ba, nawet trochę natarczywy. Bez większych zachodów skreślił temat z jakiegoś abstrakcyjnie-podniosłego na książkę, którą właśnie pisze od lat. Książka jest o Feliksie Dzierżyńskim.

Dowiedział się, że z Łodzi i dał mi z miejsca prośbę (mimo widocznego grymasu niechęci na obliczu pani domu). Właśnie w Łodzi mieszka kilku członków rodziny "wielkiego Polaka". Niestety, jego wszelkie próby nawiązania do „tą czcigodną rodziną” kontaktu, jak dotychczas nie dają rezultatów. Czyżby listy nie dochodziły? Wciąż brak odpowiedzi, przez co w książce brakuje jednego doniosłego rozdziału. Ale moje prośby „do mieszkańców z miasta szanownego towarzysza, którzy czasem Helenkę odwiedzają”, też jak dotąd nie dały wyniku. „Czy i tym razem?” zwrócił się do mnie obces. Nie wypadało odmówić, choć już przedtem dochodziły mnie niejasne słuchy, że łódzka część tamtej rodziny wcale nie jest zachwycona pokrewieństwem z tak wybitnym działaczem Wielkiej Październikowej Rewolucji. Usiłowałem o prawdopodobieństwie tego właśnie stanu rzeczy uprzedzić mojego rozmówcę. Nazbyt to jednak odbiegało od jego przekonania, by był w stanie zrozumieć. Po przyjeździe do łodzi przekazałem, acz niechętnie ową prośbę praskiego monografisty znakomitemu łódzkiemu rentgenologowi, który przed kilku laty na podstawie wnikliwej analizy zrobionej przez siebie zdjęcia mego gardła wytłumaczył mi

bez korzeni, bez ontologii i moralności, ba! nawet śmieszne, tak jak śmieszny był kult Najwyższego Bytu w dobie rewolucji francuskiej czy kolektywistyczny folklor systemów totalitarnych, albo ich osławiona sztuka realistyczna.

Wydaje mi się, że pogrzenie mitu było jakby rezygnacją z istnienia wypróbowanej stajni, w której przez tysiąclecia trzymano zagadkowe zwierzęta ludzkiej podświadomości, jakby wypuszczeniem owych zwierząt na wolność w tragicznym, mylnym przeświadczeniu, że chodzi tu wyłącznie o przywidzenia, a zwierzęta te obecnie niszczą ziemię. Niszczą i jednocześnie wytwarzają dla siebie „zastępcze stajnie” w miejscach, gdzie byśmy tego najmniej się spodziewali, na przykład w sekretariatach nowoczesnych partii politycznych. Te kapliczki nowoczesnego rozumu używają im swego wyposażenia i autorytetu, tak że spustoszenie osławiane jest w końcu światopoglądem najbardziej naukowym. Ludzie tę zgrozę zaczynają pojmować zazwyczaj dopiero w chwili, gdy już jest za późno: tzn. w chwili, gdy stwierdzają, że tysiące ich bliźnich wymordowano z powodów całkowicie irracjonalnych. Irracjonalizm w kostiumie trzeźwego rozumu i naukowego wyjaśnienia o nieuniknionym biegu dziejów, domagającym się milionów ofiar w interesie szczęśliwej przyszłości dla miliardów, wydaje się bardziej irracjonalny, a więc i niebezpieczny, niż irracjonalizm przyznający się poprzez mit sam do siebie, podporządkujący się w miocie imperatywu „sił pozytywnych” i składający w ofierze przynajmniej po większej części jedynie zwierzęta. Demony po prostu czynią, co chcą, podczas gdy bogowie skrywają się lekliwie w ostatnim przytułku, jaki im pozostawiono, a który nosi imię „ludzkiego sumienia”. Tak więc w końcu żądzą krwi pod płaszczkiem najbardziej naukowego światopoglądu (nauczająca, iż sumienie należy podporządkować konieczności dziejowej) wrzucą do Wisły Jana Nepomucena dwudziestego wieku. A jego naród natychmiast swego męczennika w głębi duszy kanonizuje.

Wiadomości, które przypadek postawił obok siebie w jednym dzienniku radiowym a inny przypadek złączył z Agrippą, stają się nagle dla

łagodnie i dobrotliwie, że nie mam wcale raka, lecz tylko naderżnięcie tarczycy. Tym razem srodze zagniewany odesłał swego zapożnionego już pacjenta do istoty, z którymi moja żona nie ma cienia wątpliwości, iż będą miał namacalnie dotkliwą styczność w życiu pozagrobowym. Nie było co odpisywać mężowi pani Teigowej.

W jakiś czas po mnie pojechał jednakże do Złotej Pragi i podjęty został na audiencji przez panią Teigową Leon Gomolicki jeden z najwybitniejszych pisarzy polskich, z którym miałem zaszczyt przez szereg lat pracować biurko w biurko. Po powrocie przekazał mi wymówkę od tamtego pana, który z ubolewaniem stwierdził, że, choć mi dobrze z oczu patrzyło, najwyraźniej zapomniałem o jego prośbie. „No to ty zadzwonił” zachęcił Leona chytrze, podając mu nawet numer telefonu. Nie bez satysfakcji obserwowałem, jak w trakcie rozmowy z krewnym «Wielkiego Polaka» głos mu zmienił się z popierającego na wycofujący, a policzki przybierały barwy pomidora i szkarlatu.

Wreszcie trzy, bardziej niż inne, utrwalone w mojej pamięci epizody ze Słowacji.

Pisarze z komisji zagranicznej Związku Pisarzy Słowacji powitali nas z wylewną serdecznością, po czym przydzielili tłumaczkę i właściwie przestali się nami zajmować. Młodzianka tłumaczka rozpoczęła swoją pracę od poproszenia o dzieło „wychodnego”, gdyż nazajutrz zdaje egzamin z historii Polski od początku XX w. i bardzo się boi, bo prawie nic nie wie o Romanie Dmowskim. Dla Polaków osłuchanych z góralszczyzną język słowacki nie wydaje się być językiem niepolskim, a zatem tłumaczka nie była nam właściwie potrzebna, raczej przewodniczka. Posłyszawszy o jej leku przedkolokwialnym spojrzeliśmy sobie z Felkiem porozumiewawczo w oczy. I ja (były endeck) oraz on (członek komitetu PZPR w Poznaniu) zaofiarowaliśmy jej pomoc. Okazało się, że nasza wiedza o wielkim polityku i myślicielu była mniej więcej jednakowa i stosunek podobnie pozytywny. Przygotowywaliśmy ją do późna w nocy.

Nazajutrz przyniosła nam kwiaty i butelkę miejscowego wina (przed wojną zwanego „weg-rzynem”), szczęśliwa jak hiperborejka z mitologii! Nie tylko dostała piątkę, to jeszcze profesor zdumiewał się, skąd ona tyle wie i to takie rzeczy, o których przyznał wielkodusznie sam nie słyszał. Chyba to tego dnia poszedłem do Klubu Polskiego na odczyt profesora Viktora Borovcaka, specjalisty od XIX w. o powstaniu

mnie czymś więcej, niż tylko zwykłymi komunikatami ze świata: przyjmuję je jak collage nabywający rozmiarów symbolu, obrazu, szyfru. Nie wiem, jakie skryte posłanie jest zamknięte w tym bezwiednym artefakcie, który mógłby nosić nazwę Thriller (Dreszczowiec) według słynnej piosenki Jacksona. Czuję jedynie, że tutaj przypadek ten wielki poeta mamrocze coś niejasnego o rozpacz dzisiejszego świata.

Demonolodzy marksistowsy najpierw piszą w polskich gazetach, że Popieluszko jest czarnym magiem, organizującym za asystencji Diabła w kościele świętego Stanisława Kostki w Warszawie czarną mszę antykomunizmu; inni naukowcy marksiści napadają na niego w nocy, biją, mordują i wrzucają do Wisły, jeszcze inni „naukowcy” na powierzchni 1/6 świata twierdzą następnie, że za tym czynem skrywa się Diabeł przebrany, tj. CIA. Wszystko to wygląda na szczerze średniowiecze. Tyle że jego aktorami są scjentyści, ludzie broniący nauki i posługujący się rzekomo naukowym poglądem na świat. Tym bardziej więc szalona jest ta sprawa. Sikhowie już nie potrzebują maski naukowej. Uważają twarzą w twarz nowemu światu, z nowoczesnymi karabinami w rękach iż są narzędziem Opatrzności: karzą przeciw jedynie, zgodnie z prorocstwem, świętokradczyń swej Złotej świątyni. Hinduści w odpowiedzi na to mordują i żywcem pałają Sikhów, jakby w zamordowaniu pani Indiry uczestniczyli wszyscy, co do jednego, Sikhowie. Jak to wszystko jest możliwe w stuleciu nauki i rozumu? W jakim to pozostaje związku z wiekiem zdolnym transplantować ludziom serce pawiana? Czy przypadkiem nie szukujemy się do podróży na Marsa z cichą nadzieją, że swe demony pozostawimy na Ziemi i w ten sposób pozbedziemy się ich? A kto ma właściwie serce pawiana: owa mała dziewczynka z Kalifornii czy etiopski rządk marksistowski, budujący dla siebie w czasach klęski głodowej mauzolea, a może oficerowie polskiej milicji czy Sikhowie z osobistej straży indyjskiego premiera-kobiety, która ginie na skutek ich wiary w siłę dawnych prorocstw, jak starożytny cesarz z rąk swych sług?

styczniowym. Prelegent, zademonstrowawszy najpierw niemałą elokwencję, pod koniec udowodnił, że główną przyczyną klęski naszego powstania było ograniczenie go do wystąpienia zbrojnego przeciwko Rosji z pominięciem Austrii... i Węgier. Zabrałem głos i grzecznie wyjaśniłem bezsens takiej trzyfrontowej strategii, w sytuacji, gdy szanse zwycięstwa nad jedną tylko Rosją równały się zeru, jakkolwiek dodałem dla osłody rozumiem abominację Słowaków do Węgrów, któremu to królestwu naówczas podlegali, ale i w tym wypadku rozumienie czyjegoś punktu widzenia nie znaczy podzielenie go, bo nie darmo powiedzisko nazywa Polaków i Węgrów „bratankami”. Trochę się boczyl.

Miłe było tamto nasze dziewczętko słowackie. Po zwiedzeniu wykopalisk archeologicznych w głównym mieście Państwa Wielkomorawskiego w Nitrze, gdy wracaliśmy podmiejskim pociągiem do Bratisławy, serdecznie bawiliśmy się z Leszkiem tamtą dwójką: Felkiem i... Chyba się niegroźnie zabawiała w Felku. Siedzieli w otwartych drzwiach pociągu z nogami spuszczoneymi w pedzającą (noga za nogą) brzępaś i świergotali do siebie czule, może się też i tulili. Przyszło nam wtedy z Leszkiem Prorokiem do głowy, żeby udając starszych i zgorszonych, na głos wyrzekać na niestatek „tej dzisiejszej młodzieży”, czym wywołałszy znaczny aplauz współpasażerów i współpasażerów w moim dzisiejszym wieku.

Głównie zajmował się nami w Bratisławie polski konsul generalny. Nazwiska nie pamiętam, a w prasie z 68 roku szukać mi się nie chce. Obaj moi poznańscy współtowarzysze byli z nim bodaj nawet zaprzyjaźnieni, właśnie z poznańskich czasów. Obecny konsul generalny był przewodniczącym RN (po dzisiejszemu: prezydentem miasta) tak się nieszczęśliwie złożyło, że na czas zaburzeń poznańskich. Winien niewinien, musiał odpokutować, zwyczajowo naówczas odesłaniem na nieszkodliwą placówkę dyplomatyczną. Zdaje się, że głównym jego i ulubionym zajęciem w Bratisławie było polowanie na polskich handlowców szmuglerów (już się wtedy ta mało szlachetna mania narodowa u nas zaczęła) sprzedających kielbasę i wódkę po bramach i podmiejskich skwerach. Często z pracownikami zaczął się na nich, łapał, gonił, ale zbyt wielkich sukcesów na tym polu przynależnie się nie odnosił. Ówże konsul, dowiedziawszy się, że interesują mnie w Czechosłowacji miejsca i ludzie związani z powstaniem styczniowym, zadzwonił do nas któregoś ranka do hotelu (a wybieraliśmy się właśnie do Sławkowa, czyli do historycznego napoleońskiego Austerlitz). Oświadczył triumfalnie, że odnalazł rodzinę wnuków czy prawnuków z powstania styczniowego i już zadecydował, że dziś cała nasza czwórka odwiedzi ich i zostanie na proznej kolacji, gdyż owe „polonusy” ucztę na naszą cześć wyprawiają. A zatem tego dnia już tylko wstąpił do banku, by zmienić przysługującą nam przepisami ilość złotych na miejscową mamone, czym wywołałszy w banku nastrój niemal euforii. Dostaliśmy nawet «dla równego rachunku» więcej niż się zgodnie z przepisami należało. Zbiegli się oglądać nas wszyscy bankowcy z samym bruchatym od piwa panem dyrektorem na czele i w zamian za przysługę zaczęli pokornie prosić Fomalczyka, nazywając go w dodatku «bohaterem», o autografy. Rozdawał, na prawo i na lewo, dumny widocznie, że jego piarstwo wywołało w bratniej

Słowacji aż takie wrażenie, ale potem wyszło na jaw, że wzięli go za jakiegoś... kolarza takiego samego nazwiska, co gdzieś tu jeździł i coś tam zdobył.

„Rodzina popowstańcza” w Bratisławie powitała nas aż nawet zadziwiająco patriotycznie, bo nie tylko że na schodach, ze świecami i bukietem, lecz tych dwoje matuzalemków (on podobno kiedyś najlepszy w Słowacji malarz Janosików, już chyba naówczas mało samodzielny życiowo i umysłowo, i ona grająca w tej starszej rodzinie pierwsze skrzypce). Stawawszy przed nami nieruchomo, prawie na baczność, przepiewali cały nasz hymn narodowy. Musieliśmy więc też przez dość długi czas stać nieruchomo i na baczność, tyle że wspólnie z nimi śpiewać nie mogliśmy, ponieważ gdy pani domu dośpiewała już do „przejdziem Wartę”, artysta pozostawał jeszcze w „ziemi włoskiej”... Pokazywali nam janosikowe malunki pana domu, co chwila ona wdychała, że gdyby nie te wojny i powstania, to oni byłiby Polakami. Jednakże przy znakomicie zastawionym stole, mimo wielorakich wysiłków całej naszej piątki, nie udało nam się wyjaśnić, wskutek jakiego to właściwie powstania czy tragedii narodowej nie są dziś oni Polakami. Jakiś praprapradziad został przez kogoś wzięty do niewoli ale kiedy, przez kogo?! Nie wyglądało to ani na powstanie styczniowe, ani na listopadowe. Równie dobrze mogło się zdarzyć podczas Konfederacji barskiej, jak i, bez wielkiej przesady, podczas bitwy Sobieskiego pod Parkanami. W pewnym momencie, po toastach i obejrzeniu jeszcze medali i dyplomów pana domu za sukcesy malarskie (niektóre dyplomy z czasów, o zgrozo, burżuazyjnych) pani domu wyciągnęła mnie nagle, dosyć nawet gwałtownie, do kuchni i tam ni z tego, ni z owego zaniosła się spazmatycznym płaczem. Dopiero w przerwie między tymi atakami lez zdołałem zrozumieć, że ich syn został aresztowany, potem skazany na więzienie «za tę przeklętą politykę», ale on jest niewinny, więc żebym ja zaczęła mnie całować po rękach poprosił pana konsula generalnego, który był tak łaskaw, że mnie przyprowadził «z wielmożnymi kolegami», żeby wstawił się za synem, który «gdyby nie te przeklęte powstania, wojny, polityki, to byłby nadal Polakiem», a teraz jest też przeciw Polakom i żeby go czechosłowacka władza z więzienia zwolniła! Usiłowałem wytłumaczyć staruszce, że i u nas w Polsce jest taka sama «polityczna policja», która pakuje do więzień i ani pan konsul generalny, który też był zagrożony, ani nikt z nas nie w takich sprawach nie może zrobić, zwłaszcza że to są ich państwowe sprawy wewnętrzne. Skutek moich tłumaczeń był tylko taki, że z kolei staruszka zaczęła obejmować mi nogi i całować kolana, nie przestając lkać i błagać.

Wysłaliśmy jak niepyszni i było nam wszystkim wraz z przedstawicielem naszego ludowego państwa, bardzo ciężko na duszy. Było poza tym jasne, że wydobycie tej jakiejś niejasnej, prawdziwej czy nie, legendy o powstaniu i polskości to była tylko deska ratunku, której chwycili się dziecienni, starzy, bezradni ludzie.

Z przygotowywanego tomu wspomnień pt. „Bardzo dziwne prawdy”

Tadeusz Chrościelewski

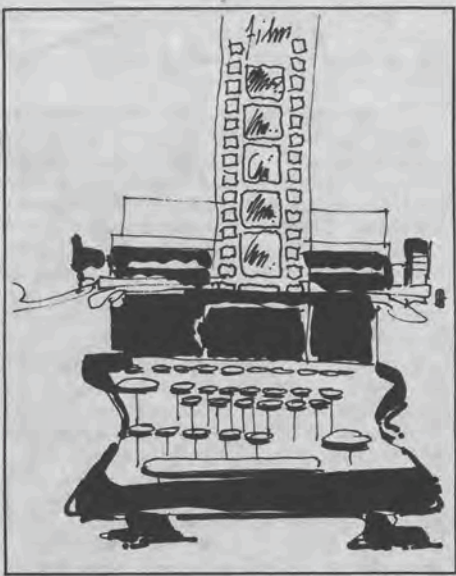


Wydaje mi się, że człowiek posiada to, co nazywamy ludzkim sercem, ale ma również w sobie coś z pawiana. Nowoczesność niweczy to porównanie, z serca czyni pompe, a obecności pawiana w nas zaprzecza. I w ten oto sposób wciąż na nowo ten oficjalnie nie istniejący pawian szaleje nie kontrolowany, czy to w masce osobistej ochroty polityków, czy w mundurze najbardziej naukowej policji dziejów. Nowoczesny człowiek, ten zdyscyplinowany urzędnik światowego Arcyurzędu, lekko sfrustrowany

krachem swego sposobu poznawania świata, wyłączając wreszcie wideo z Mikiem Jacksonem, grającym upiora w najpopularniejszej wideokasie w dziejach świata (Thriller) i idzie do kuchni, by skrycie, poza plecami wszystkich towarzyszy ochrony zwierząt, wyjąć z termosu jeszcze ciepłe serce dudka i zjeść je w pragnieniu zdobycia daru jasnowidzenia. (listopad 1984)

Z książki: Vaclav Havel, Do ruznych stran, Praha 1990, przełożyła Krystyna Kardyni-Pelika-nova

Jak dawniej kręcono filmy w Łodzi (1)



Zanim podjęto jakiegokolwiek próby produkcji filmów na większą skalę, indywidualni przedsiębiorcy, uprzedzając wszelkie organizatorskie zabiegi zaczęli działać metodą faktów dokonanych. Mając do dyspozycji tylko nieznaną dotychczas kamerę, trochę taśmy i brak doświadczenia nie wazono się na filmy fabularne w każdym razie w Łodzi. Kręcono więc głównie obrazy, które dzisiaj nazwalibyśmy dokumentalnymi, a wówczas mówiono o nich „z natury”. Pierwszym, który w mieście fabrycznych kominów podjął inicjatywę w realizowaniu filmów był Julian Szrojt, właściciel „The Bio-Express” przy ul. Zielonej 2 (dzisiejsza „Młoda Gwardia”). Utrwalono wówczas na taśmie „wielki pożar fabryki Zilkego z udziałem wszystkich oddziałów straży ogniowej ochotniczej Scheiblera, Poznańskiego, Leonarda i miejskiej”. Jak informują ówczesne przekazy, w zasadzie sfotografowano koniec akcji ratunkowej, ale i tak pomysł J. Szrojta (wujka Juliana Tuwima) był bardzo filmowy. Zaspokajał on wszystkie ówczesne tesknoty łodzian: ujrzenie „na własne oczy” aktualnego wydarzenia ze znanego sobie miejsca. To mogło zrobić wrażenie! W 1910 r. idąc za ciosem „The Bio-Express” sfilmowało jeszcze „Pożar fabryki Rejchera i akcję ratunkową”. W 1912 r. widzowie w „Odeonie” (Przejazd 2 dzisiejsza „Gdynia”) przeżyli jeszcze raz katastrofę budowlaną przy ul. Widzewskiej 40. Była to głośna sprawa, przez pewien czas goszcząca na łamach czasopism. W trakcie budowy zawalił się 4-piętrowy dom. Parę osób zginęło, byli również i ranni.

Spore zainteresowanie w Łodzi wzbudził film pt. „Bandyta Banaszczyk”. W pierwszych dniach kwietnia 1911 r. na ul. Piotrkowskiej agent ochrony rozpoznał w jednym z przechodniów poszukiwanego przez policję za napady na pociągi i kasy kolejowe Józefa Banacha vel Banaszczyka, członka „bandyckiej organizacji Rewolucjonistów Mścicieli”. Banaszczyk schronił się do domu przy ul. Zielonej 6. Stamtąd bronił się przez cały dzień i całą noc. Następnego dnia rano popełnił samobójstwo. Na miejscu wypadku znalazł się także właściciel kina „Moderne” (w Grand-Hotelu) Kazimierz Różański, który „dokonał zdjęć kinematograficznych”. Jeszcze tego samego dnia (w kwietniu) zdjęcia te pokazywano jako nadprogram w kinie. Znacznie później historia zweryfikowała sukcesy rosyjskich zandarmów. Otóż okazało się,

że osobą tą nie był J. Banaszczyk, lecz Stanisław Bednarkiewicz „Sergiej”, pruski poddany. Banaszczyk zaś zginął w 1912 r. w lesie Kreci Wilk pod Częstochową zamordowany przez współtowarzysza Józefa Piątka („Sepa”) za zdradę.

Szlagierem w Łodzi stał się w 1912 r. film zrealizowany przez J. Szrojta „Czarne kartki z kroniki łódzkiej”. Film pokazywał ponury dom przy ul. Mikołajewskiej (Sienkiewicza), w którym deprawowano i prawdopodobnie mordowano dzieci, dom przy ul. Targowej 12, w którym dokonywano morderstw oraz szkołę psów policyjnych z bohaterskim pinczerem Muchą, znalazcą mordercy z ul. Targowej. Projekcje filmu musiano nawet przedłużyć, ponieważ „The Bio-Express”, gdzie wyświetlano „Czarne kartki...” zaledwie pomieścić mogło swoich stałych bywalców. W łódzkich kinach wyświetlano z równym powodzeniem wydarzenia mniej sensacyjne, ale ze względu na bliskość i znajomość terenu czy tematu dla widzów nie mniej interesujące. Jesienią 1911 r. zorganizowano w Łodzi „Dzień kwiatka”, w związku z czym kierownictwo kina

amatorów i choć mogły być artystycznie nijakie, to wyrastały z zasady informacji, z zasady zaspokajania elementarnej ciekawości ludzi, którzy chętnie na ekranie oglądali znane sobie miejsca, a jeszcze chętniej wydarzenia poruszające ówczesną opinię.

Po I wojnie produkcja filmów w polskim „Manchesterze” nadal obracała się w kręgu właścicieli kin i osób z branży. Więcej w tym czasie, gdy szalały kryzysy gospodarcze, było projektów i zamierzeń niż rzeczywistych realizacji. Kolejne pomysły i przyczyny niepowodzeń odzwierciedlały ówczesny, typowy proces chałupniczego powstawania obrazów, kreowanych „na żywioł”, bez oparcia o bazę techniczną i finansową. Łódź w tym czasie była przykładem nieudanych zamierzeń, nie przemyślanych akcji różnych przedsiębiorców, nieraz nawet afer.

W Łodzi udało się zrealizować do końca, to znaczy nakręcić, zmontować i pokazać na ekranach filmy jedynie krótkie, tzw. wówczas aktualności. Nadal okazją do ich powstania były jakieś niezwykle, lokalne wydarzenia, rzadziej

unieszczęśliwiać młodziutkiej żony zakochanej w poruczniku bawiącym na manewrach. Przy realizacji filmu brakowało odpowiednich finansów, dlatego też korzystano z pomocy Poznańskiego, który udzielił wytwórni odpowiedniego atelier i p. Herbsta, właściciela majątku „Łagiewnik”. W jego parku nakrecono wiele zdjęć. Film powstał bardzo szybko. W maju 1926 r. rozpoczęto opracowanie scenariusza, w lipcu przystąpiono do pracy, w październiku obraz był już gotów. Z braku niezbędnych środków technicznych film robiono „wyłącznie przy świetle dziennym”. Nie zrażało to jednak producentów, którzy w związku z realizacją snuli dalekosieczne plany. „Jeśli film łódzki przyjmie się co stać już się musi to da on początek dalszej stałej produkcji, która zasilać będzie rynek kinematograficzny 4-6 obrazami rocznie. Łódź więc stałaby się największym ośrodkiem filmowym w Polsce, gdyż najważniejsza dotychczas wytwórnia w Polsce „Sfinks” produkuje tylko jeden film rocznie”. W ocenie filmu opierano się raczej na życzeniach i planach niż na rzeczywistych osiągnięciach.

Premiera odbyła się 17. X. 1926 r. w kinie „Luna” o godzinie 11.00, oficjalnie obraz wszedł na ekran 4. XI. „Kurier Łódzki”, patrolujący poczynania, ogłosił sukces wytwórni „Emes-Film” oraz wróżył obrazowi długie i zasłużone triumfy. W Łodzi film rzeczywiście cieszył się powodzeniem. Utrzymał się przez dwa tygodnie. Postanowiono więc pokazać go w Warszawie. Premiera odbyła się w marcu 1927 r. w kinach „Pan” i „Corso”. I tu spotkała go druzgocąca plajta. Na ekranach pokazywano go tylko przez pół seansu! Stolica odcięła się i wyśmiała tę produkcję. Od tej chwili obraz tknął się na ekranach dalekiej prowincji, po ubogich salach przedmieść i małych miasteczek.

Złe przyjęcie filmu w Warszawie przekreśliło raz na zawsze dalsze plany realizacyjne. Jak się okazywało, następne próby często również ponosiły fiasko. Wraz z kolejnym niepowodzeniem tracono coraz bardziej wiarę w uczynienie z łódzkiego polskiego Hollywood. Jednak tej presji nie poddawały się, jak już wspomniano, filmy dokumentalne. W 1927 r. powstały dwa ciekawe obrazy: „Pobyt pana prez. Mościckiego w Łodzi z okazji poświęcenia sztandaru 28 pułku Strzelców Kaniowskich” i „Łódź miasto pracy”. Oba finansowane były przez Związek Teatrów Świątecznych woj. łódzkiego. Pierwszy był prawdopodobnie dziełem Józefa Maszyckiego, drugi Edwarda Puchalskiego. Film ilustrował dorobek oraz gospodarkę ówczesnego samorządu. Całość składała się z 4 części, a motywem spajającym je była wędrówka dwóch przyjaciół, Jana i Stanisława, po mieście.

Dokończenie w następnym numerze

Używając niewinnego fortelu, udało nam się zdobyć informację o samym źródła, co do emisji dalszych odcinków serialu Davida Lyncha «Miasteczko Twin Peaks». Otóż: negocjacje, które się toczą, dotyczą 22 nowych odcinków serialu. Wiemy, że zakończy się pomyślnie dla miłośników Lyncha i jego kina. Za dwa miesiące wszystko stanie się jasne...

Hanna Krajewska

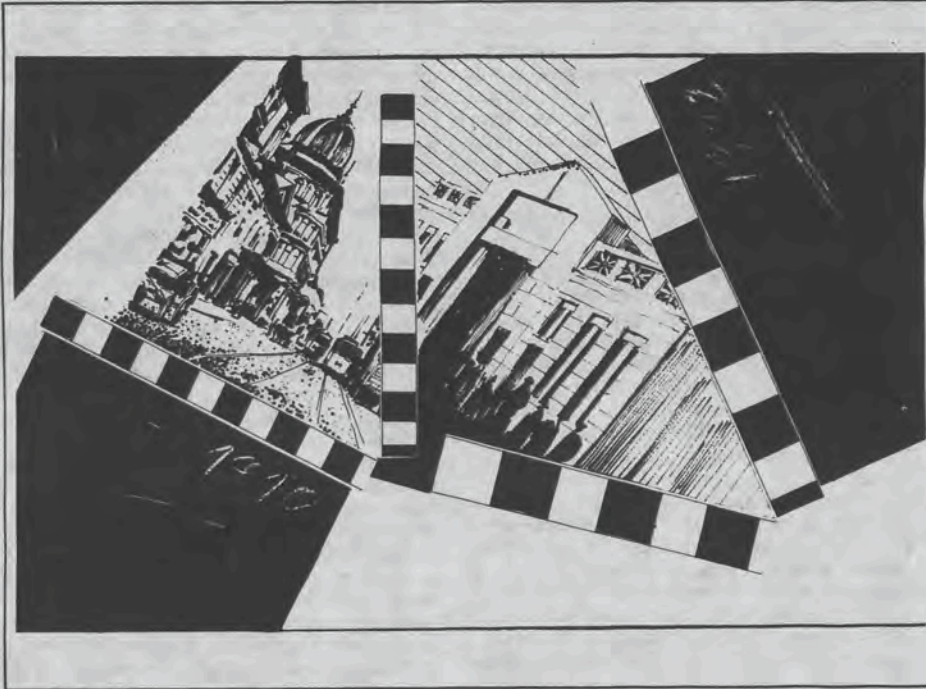
Południe podczas deszczu, który pada (tylko) na szyby ich samochodu przypomina humorystycznie „Deszczowych ludzi” Coppoli. Bywają też sceny przeniesione z „Ojca chrzestnego”. W pewnym barze zwariowany staruszek zaczepia Sailora, czyli Nicolasa Cage’a (pamiętamy go z „Ptaśka” Parkera) i sugeruje, iż gołębie brudzą Sailora natomiast jest autorem „nietolerancyjnej” uwagi, że „mężczyźni wola blondynki”. Często też mówi się w tym filmie o baśni, która była już kilka razy przenoszona na ekran, o „Czarodzieju z Oz”. Lula, kuszona na chwilę staje się Dorotką. Groteskowy wamp, jakim jest Marietta, usiłuje szminką popełnić samobójstwo. A gdy jesteśmy w Teksasie jak z westernów, to że „zgrozą” dowiadujemy się, że Detektyw zginął „na polowaniu na bawoły”. Natomiast kilku zwariowanych facetów w „noc iguany” wspomina pewną akcję z Wietnamu. W tle spacerują „panienki Felliniego”. Przechodząc do zakończenia spotykamy w sytuacji deus ex machina Dobrą Wroźkę a la Disney i prawie baletową interwencję w te historie chłopców z „West Side”. Zła Czarownica towarzyszyła nam przez cały film.

Poprzez odniesienia do „Czarodzieja z Oz” wkracza w ten film alegoryczność. Na drodze pary kochanków, niewinnych jak Adam i Ewa, w ich wędrówce do Raju „na drugą stronę łąki” staje Kusićiel o posturze weża „anioł Ciemności”. Nieco wcześniej, w Nowym Orleanie, gangsterzy wraz z dziewczkami zasiadają do „ostatniej wieczerzy”. To również już było w kinie, wówczas odpowiedzialny był Bunuel.

Pejzaż zwariowany Lyncha jest bliski filmom Jima Jarmuscha czy też „Młodzieńczej Arizonie” Joela i Ethana Coenów. Ale to już inne filmy.

„DZIKOŚĆ SERCA” („WILD AT HEART”): Reżyseria i scenariusz: David Lynch, Muzyka: Angelo Badalamenti, Zdjęcia: Fred Elmes, Wykonawcy: Nicolas Cage (Sailor), Laura Dern (Lula) i inni. Produkcja: USA 1990.

Renata Dolińska



„Odeon” sprowadziło z Warszawy młodego operatora filmowego Czesława Jakubowicza, który podczas ulicznej kwesty wykonał szereg zdjęć, wyświetlanych potem z ogromnym powodzeniem.

Oprócz rejestrowania ważniejszych wydarzeń, a więc tworzenia kronikarskiego opisu, powstawały również dokumenty utrwalające wygląd miasta czy ciekawsze wydarzenia sportowe. Popularność obrazów łódzkich była ogromna. Publiczność nie zrażała się niską pewnie jakością filmów, preferowała natomiast sam temat. Zysk materialny producentów był jedną z sił napędowych rozwoju tego typu filmów. Były one krecone przez

chęć ukazania i utrwalenia na taśmie filmowej ciekawszych obiektów miejskich. W 1926 r. doszło do zrealizowania jednego w dwudziestolecie międzywojennym łódzkiego filmu fabularnego. Dla celów produkcji tego filmu ówczesni właściciele „Luny” (Przejazd I, dzisiejsza „Wisła”) Józef Maszycki i Władysław Bene założyli wytwórnię „Emes-Film”. Obraz nosił tytuł „Dzwony wieczorne” (Kołce i różę zakazanej miłości) i powstał na podstawie własnego scenariusza i reżyserii J. Maszyckiego. Miał to być potężny dramat erotyczny w 10 aktach z prologiem, którego bohater, obywatel ziemski, dobrowolnie odebrał sobie życie nie chcąc

zgodzić się z reżyserem. W opowiedzianej przez niego „historii o drodze” pary kochanków, On nazywa się Sailor Replay (Nicolas Cage), Ona to Lula Pace Fortune (Laura Dern). Jak w każdej prządnej baśni i ta podróż zakończyć się szczęśliwie. Akcję filmu umieścił reżyser na Południu Stanów, na obszarze wręcz nierealnie fotogenicznym. Ale nostalgiczna pastelowość zamienił na intensywność barw godną telewizyjnych reklam. Odpowiedzialność za zdjęcia spada też na Freda Elmesa, uzupełnia je wspaniale muzyka. Stałym już kompozytorem w filmach Lyncha jest Angelo Badalamenti.

„Dzikość” wizji świata, jaką proponuje reżyser, realizuje się także poprzez wymieszanie gatunków i konwencji filmowych. Trudno jednoznacznie powiedzieć, czy jest to „kino drogi”, romantyczna historia miłosna, dramat psychologiczny lub komedia przemocy, horror, „film czarny” o detektywie i femme fatale, nowa wersja filmu z Elvise, czy też baśni o „Czarodzieju z Oz”. Już początek jest symptomatyczny: od zapalki wybuchu pożar i na tym tle pojawiają się napisy jak według receptury Hitchcocka, że film powinien się rozpoczynać trzęsieniem ziemi, a potem to już tylko należy stopniować napięcie. W płomieniach nikt nie życiowo prawdopodobieństwo, wszelka mylna potrzeba normalności. Prosty ogląd świata obala, z jazzem w tle, kamera zeszlizgująca się po polichromii na „schody odeskie Eisensteina”. Spotykają się na nich jak u klasyka: marynarz (Sailor), matka (Marietta Diane Ladd) z dzieckiem (Lula) i płatny morderca. Dochodzi do masakry. Lynch świadomie odwołuje się do przeszłości kina, robi to na zasadzie cytowania, ale nawiązania mają charakter przytoczenia z przypadku, bez konsekwencji. Takich haseł z historii kina pojawia się w tym filmie jeszcze wiele. Na przykład: młoda para w Nowym Orleanie mieszka w Hotelu „Brazil”. Gdy później do tego miasta przyjedzie Detektyw, będzie ono sfotografowane jak w „Harry Angel” Parkera. Dalsza droga kochanków przez

„Dzikości serca...”

...namiętności, pasji i twórczej wyobraźni wymaga kino obecne, od twórcy i od widza. Tej odrobiny szaleństwa, która przewycięży nudę. Z poczucia wyczerpania możliwości, ze znużenia zużytych formami, utrwalałymi w tradycji środkami, gatunkami i konwencjami filmowymi rodzi się nowa estetyka. Teoretycznie w kinie wszystko zostało już powiedziane. Ale podejrzewam, że chociaż nieuświadomione, to powszechne bywa zapotrzebowanie na kino nowe. Jednym z reżyserów na tyle szalonym by tworzyć światy tak dzikie, tajemnicze w manierze „postmodern” jest David Lynch, a jego ostatni pełny metraż „Dzikość serca” nie pozwala na ogarnięcie go „chłodnym okiem”, pomimo iż jest to kino obojętne i nihilistycznie gwałtowne.

Może nic nie wyraża, prawdopodobnie brak mu głębszej treści w tradycyjnym mniemaniu, a liczy się jedynie jako doświadczenie twórcze i służy tylko przyjemności. To jest właśnie kino pasji i na pewno nie można reżyserowi odmówić wyobraźni. Być może miłośnicy dawnego kina nie skązonego jeszcze manierą będą zbulwersowani, może przesłanie wyda im się zbyt oczywiste, a forma skandalicznie trywialna, kiczowata. Te filmy widza stawiają w centrum uwagi i jemu proponują grę w emocje. Pierwszych reguł dostarcza historia kina, dalsze to rezultat użycia parodii, pastiszu i absurdu. Obecne kino zadowala się bowiem nieskończonymi możliwościami transformacji i kombinacji form, motywów i cytatów z własnej historii. A sztuczność tak utworzonych światów skąpanych w ironii i czarnym humorze nie jest ich wadą, jest zaproszeniem do gry z filmem.

Lynch to reżyser dopiero kilku filmów. Jego

pierwszym długim metrażem była powstała w 1976 roku osobliwa fantazja na pograniczu horroru i science-fiction „Eraserhead”, czyli „Głowica ścierająca”, dziś utwór otaczany wręcz kultem. Następny film „Elephant Man” z 1980 roku to już sukces komercyjny. Rok 1986 to „Blue Velvet”. Rzecz skandalizująca, prowokacja estetycznych przyzwyczajęń widza w manierze sztuczności, pastiszu z konwencji kina i jego stylizacji. Równocześnie propozycja gry pod pozorem kina gatunków. (W „międzyzycie” Lynch adaptował powieść s-f F. Herberta „Diune”). „Blue Velvet” ustaliła jego pozycję jako najbardziej prowokującego i inspirującego reżysera w kinematografii amerykańskiej, który dziwność świata przedstawia bez prób umotywowania, z absolutnym przekonaniem, w tonacji surrealistycznej. Jest to świat przeladowany mnogością odniesień nie tylko symbolicznych, jednocześnie wymowa filmu pozostaje paradoksalnie bezpośrednia. Znajomość kina, także tego „B-pictures”, jaką demonstruje Lynch, zapobiega wszelkiej konwencjonalnej identyfikacji widza i postaci. Uwagi te dotyczą także jego późniejszego filmu, który na festiwalu w Cannes zdobył Złotą Palmę, a mianowicie melodramatu „Dzikość serca”. Potem była jeszcze pewna „mydlana opera” pod tytułem „Twin Peaks”, czyli „kto zabił Laure Palmer”. Dla wtajemniczonych nie będzie niespodzianką udział Davida Lyncha i Isabelle Rossellini w filmie Tiny Rathborne „Zelly i ja”.

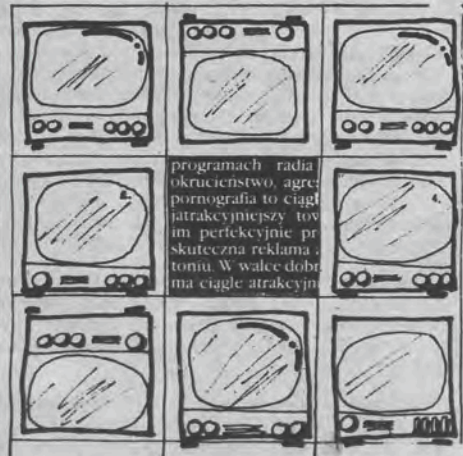
Powróćmy do „Dzikości”. Ten film to baśń, „historia miłości dwóch niewinnych istot w świecie gwałtownym, dzikim, śmiesznym, smutnym, absurdalnym”. Tyle Lynch, trudno nie

Jak (nie) porozmawiałem z Andrzejem Dziukiem

Andrzej Dziuk. Jakkolwiek usiłować go przedstawić zawsze będzie to niepełne, banalne, zwykłe. Jak można go poznać? Może przez jego sztukę, może przez rozmowę? Dziuka nigdy wcześniej nie widziałem, w jego teatrze nie byłem. To prawda, nazywałem się o nim we wszystkich możliwych „Teatrach” itp., ale...

Śmiałości w „uderzeniu” przydało mi małe spotkanie z Dziukiem w gabinecie Michała Sypchalskiego w Teatrze Nowym w Łodzi. Odbywał się przegląd spektakli dyplomowych szkół teatralnych, których przebieg relacjonowałem, miotając się wściekle między redakcją, teatrami i drukarnią. Spotkanie to było trochę przypadkowe, a trochę nie. Poplotkowałem wówczas (Dziuk obraziłby się za „poplotkowanie”) o sytuacji i kondycji teatru polskiego i umówiłem się z nim na wywiad, jakiego miał mi udzielić w czasie pobytu Teatru Witkacego w Łodzi.

Dwa tygodnie minęły szybko i z wielkim entuzjazmem, zaproszony jak by nie było przez Mistrza, pośpieszyłem na „Cabaret Voltaire” do Sali Lustrzanej Pałacu Poznańskiego. Zapowiadał się prawdziwy seans dadaistyczno-surrealistyczny.



programach radi
okrucieństwo, agre
pornografia to ciąg
atrakcyjniejszy to
im perfekcyjnie pr
skuteczna reklama
tonu. W walce dobr
ma ciągle atrakcyjn

Król

Rzadko się zdarza, by produkcje Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego nadawano w programie ogólnopolskim. A do rzędu niezwykłych wydarzeń zaliczyć należy „pochylenie się” Andrzeja Drawicza wspólnie z Grażyną Torbicką nad łódzką realizacją w Studio Teatralnym Dwójki monodramu „Proszę mnie wypuścić”, opartego na „Listach do władz” Michała Bułhakowa, w znakomitym wykonaniu Bronisława Wrocławskiego. Gra on samego autora, usiłującego doprosić się u władz o pozwolenie wyjazdu na urlop za granicę. Ijacy „w półpróżni”, mamiony szatańsko przez Stalina i jego urzędników błagających się bezradnie między wypowiedzianym „tak” i niewypowiedzianym „nie”, pisarz przeżywa dramat bezsilności, nadziei i zwątpienia. Wrocławski, poruszając się za Bułhakowem po rubieżach normalności graniczącej z obłędem, wynosi na wyżyny sztuki aktorskiej, tworząc małe arcydzieło w trudnym gatunku, jakim jest monodram.

Prawdziwym jednak bohaterem spektaklu jest Wojciech Król, operator kamery, mistrz telewizyjnego obrazu. To on, będąc jednocześnie autorem oprawy świetlnej, stworzył klimat i nastroj tego widowiska. To on zespelił słowa z wizją, nadał im walor i znaczenie. Niespokojny rytm obrazu przechodzi płynnie w długie ujęcia statyczne, zgodnie z grą nastrojów bohatera. Dbałość o szczegóły, perfekcja kompozycyjna kadrów i znakomite pomysły, znamionują arcydzieło. Kiedyś mówiło się, że jest to król polskich kamerzystów. Dziś Król daje dowód, że to stwierdzenie nie należy wcale do czasu przeszłego. Gdy bohater mówi o swej neurastenii, widzimy jego skrzywione odbicie w metalowym kloszu lampki nocnej, a o lękach samotności opowiada z uśmiechem do swego czystego odbicia w lustrze nie jest wcale sam na ekranie. Właściwie z takich perełek składa się cały spektakl. A mogą to być tylko pomysły człowieka, który od 33 lat (spektakl był rejestrowany w 1990 r.) myśli obrazem i patrzy na świat przez wizjer kamery. Reżyser Łukasz Korwin miał z pewnością ułatwione zadanie pracując z dwoma prawdziwymi artystami.

Spektakl i jest to nie lada ciekawostka zdobył nagrody dwóch kolejnych prezesów Radiokomitetu. Pierwszą przyznał Drawicz, a gdy abdykował, jego następcą Terlecki unieważnił werdykt. Powołane przez niego nowe jury nagrodziło powtórnie łódzkie przedstawienie. Była to chyba jedyna decyzja Drawicza zatwierdzona przez jego następcę. Bo prawdziwa sztuka zawsze się obroni.

M. Koprowski

Przy wejściu okazało się, że zaproszenie ustne szefa zespołu nie jest honorowane przez organizatorów. O kupnie biletów od dawna nie było mowy. Szczęśliwie otrzymałem jednak bilet na krzesło dostawne.

— No cóż pomyślałem pierwsze koty za płoty i umościłem sobie w kącie przy kominku wygodne miejsce stojące. Na tym samym kominku ułożyłem wiązankę kwiatów przeznaczoną dla Dziuka, która po zakończonym spektaklu była wyłącznie wiązanką surrealizmu (w kominku zamontowany jest gorący kaloryfer. Swoją drogą, jakie to wytworne: kaloryfer w kominku!). Nie tracąc jednak kontensu, po spektaklu wrzuciłem ją Dziukowi, jednocześnie przypominając o obietnicy wywiadu. Niestety, ta karczma „Rzym” się nie nazywała. Ubiegła mnie radiowa rozgłośnia, w której wszyscy artyści spędzili miło czas opowiadając słuchaczom o sobie do północy.

Dziuk wyznaczył mi termin następnego spotkania: „jutro o piątej przed spektaklem”. Przedstawiają o 19, więc myślę sobie nie ma tragedii.

Nazajutrz, z fotoreporterem, byliśmy bardzo punktualnie. Mój rozmówca zjawił się już po 70 minutach, przepaszając nas dwoma słowami. Wykazałem dużo cierpliwości i pokory czekając tak długo i było mi trochę tych przeprosin za mało, ale to, co za chwilę nastąpiło, wprawiło mnie w osłupienie. Postawiłem na stoliku dyktafon i w tym momencie Dziuk ściał mnie z nóg: „Ale ja umawiałem się z panem na rozmowę, ja wywiadów nie udzielam, to kłopotliwe, potem trzeba autoryzować...”. Zamarłem. „Oczywiście, zależało mi żeby porozmawiać, ale... jak to?” spytałem nadal nie bardzo rozumiejąc. „Możemy porozmawiać” powiedział Dziuk i w chwili później wszyscy trzej siedzieliśmy w stylowym saloniku przy herbacie. Rozmowy jednak konsekwentnie nie pozwolił nagrywać, a ja całkowicie zbity z pantofelku „o włos” się nie zaplałem z zakończenia i zakłopotania. A może się jednak trochę zaplałem?

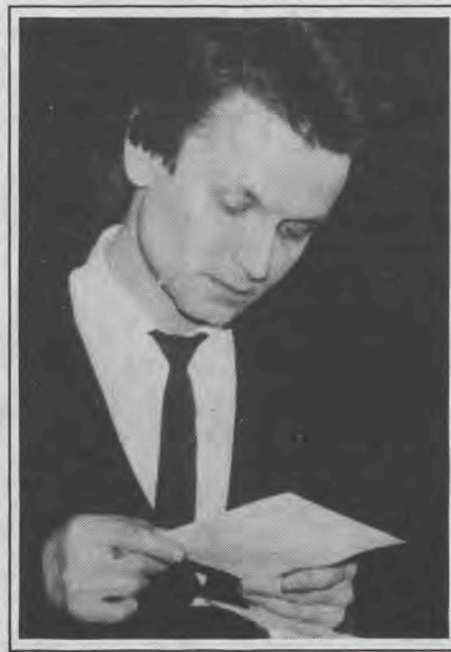
Zdeterminowany i, co tu kryć, rozczarowany, zerknąłem do notatek i zapytałem:

— co było dla pana najważniejsze w momencie tworzenia tego teatru, a co jest teraz?

— jest pan dyrektorem, aktorem, autorem, scenografem, reżyserem. Co myśli pan o sobie jako twórcy i czy administrowanie nie zabiera zbyt wiele czasu? Czy nie zuboża twórczo?

— jako laureat nagrody im. K. Swinarskiego, którą otrzymał pan wraz z zespołem w 1987 r. powiedział pan, że ta nagroda to „pocałunek śmierci”. Czy to znaczy, że jest pan przesądny?

— dyrektorzy teatrów często zmieniają się,



budują swe realizacje w spotkaniu z innymi artystami. Czy to, że jest pan 6 lat w Zakopanem i nie tworzy niczego poza swoim teatrem pomaga, rozwija, czy może przeszkadza, może ogranicza?

— czy zdecydowałby się pan przejść do innego teatru?

— teatr Andrzeja Dziuka, jaki powinien być?

— jaki powinien być teatr w teraźniejszej, jakże konkretnej rzeczywistości?

— teatr biedny czasy burzliwe. A może odwrotnie?

— jak dalece wierzy pan w swoją nieomyślność? Mam na myśli przedstawienia autorskie.

— pana kleski, zwycięstwa... jak widzi pan przyszłość?

Rozmawialiśmy krótko. Pobieżne odpowiedzi, trochę pośpieszne (dochodziła siódma), sprawiły mi zawód. Ucieszyło natomiast zaproszenie na kolejną rozmowę do Zakopanego. Pojadę tam, obejrzę inne spektakle i wtedy porozmawiamy. Może uzyskam zgodę na nagrywanie i publikację odpowiedzi. Z pewnością postaram się wszystkie pytania zadać po raz drugi, może uzupełnie je nowymi? Jedno jest pewne: mimo wszystko poznałem wspaniałego człowieka i tak już zostanie. Wiem także, że jeśli Dziuk nie zgodzi się na klasyczną (o ile taka istnieje) formę wywiadu, to po kolejnych naszych spotkaniach i rozmowach i tak postaram się o nim napisać. Oczywiście, jeśli potrafie...

Michał Lenarciński

Literatura pomostem do wspólnej Europy

mówi Karl Dedecius, łódzianin, znakomity tłumacz i wybitny znawca literatury polskiej

— Co w sposób decydujący wpłynęło na wybór pańskiej drogi życiowej?

— Bez wątpienia moje łódzkie gimnazjum i panujący w tej szkole piękny humanistyczny duch i ludzka solidarność. Szkoła umiała wykształcić w nas i zaszczepić na całe życie poczucie odpowiedzialności za to, co się obecnie dzieje, za historię i za to, co być powinno. Stąd bierze się przekonanie o sensie życia i pracy dla innych ludzi i dla lepszego jutra Europy.

— Z tego co pan powiedział wynika, iż profesorem w przedwojennym łódzkim gimnazjum byli nie tylko świętymi pedagogami.

— To byli przede wszystkim ludzie o głębokim, wewnętrznym humanizmie. Umieci zaszczepić u młodego człowieka miłość do literatury przynajmniej pan, że to wielka sztuka i cenna umiejętność. Mieć zaś takich pedagogów, to nie tylko szczęście dla młodego człowieka, ale i mocny humanistyczny fundament na całe życie. Choć później miałem szerokie i bliskie kontakty z literaturami czeską, francuską, rosyjską i włoską to najtrwalszym związkiem okazał się ten, który wyniosłem z łódzkiej „budy”.

— Czy to, co pan robi, można traktować jako zawód?

— Nie, nie. Każdy zawód czyni człowieka zależnym. Jeśli zaś człowiek decyduje się na to, iż treścią jego życia jest praca społeczna, to czuje się wolnym w wyborze decyzji. Oczywiście wolnym od ideologii, ruchów społecznych, mody czy gustów czytelniczych. Moje widzenie własnej drogi życiowej sprawdziło się. Nie musiałem zmieniać ani jej kierunku, ani pracy, ani stanowiska. W moim życiu ważne jest humanum, nie zaś wyznaczenie, ideologia, rasa.

— O wyborze tematu, dzieła, pomysłu decyduje pan zupełnie samodzielnie?

— Tak to się dzieje. Zawsze pisałem honoris, nigdy honoraris causa. Nie jestem podatny na wpływy i życzenia ograniczające w jakikolwiek sposób wolność twórczą.

— Pański wybór jest jednoznaczny, ale i trudny w codziennej realizacji.

— To prawda, że najchętniej wybieramy proste i najłatwiejsze drogi myślenia, podniecając się ciągle tym, co dzieje się teraz lub w skali ostatniego półwiecza. Ale poza Hitlerem i Stalinem są też piękne okresy w życiu Europy i Polski. Wystarczy wspomnieć czasy zygmunto-wskie, okres humanizmu w Krakowie, kiedy owocnie współdziałali ze sobą Polacy, Włosi i Francuzi. Nawigując do tych pięknych kart, można stworzyć bazę innej, bardziej ludzkiej przyszłości. Europa daży obecnie do tego łączącego ją pomostu, do kultury śródziemnomorskiej, którą my, jako «marnotrawni synowie» nieco zagubiliśmy.

— Co to znaczy dobry przekład literacki?

— W poezji, dramacie, prozie najważniejsze rzeczy dzieją się między słowami, zwrotkami. Właśnie to trzeba czuć, trzeba to rozumieć własną duszą i sercem, najlepszym więc jest tłumaczenie dosłowne, a nie dosłowne.

— Co panu w tym pomaga?

— To, że wyrosłem w Polsce i cały czas moja percepcja życia i wiedzy odbywała się po polsku i po niemiecku. I tak już zostało do dziś.

rozmawiał
Marian Strzelecki



Kultura i śmietnik

Niegdyś pisarz miał całe mnóstwo obowiązków. Musiał obserwować i gromadzić fakty, budować charakterystyki swoich bohaterów, dbać o prawdopodobieństwo zdarzeń, głębie myśli i świeżość spojrzenia, szukać równowagi między historią wielką i małą.

W epoce postmodernizmu, gdy wszyscy nie wyłączając artystów są zmecczeni, nie wypada się już tak trudzić. Literatura powstaje z gotowych materiałów, tworzą ją strzępki zasłyszanych i wyczytanych historii, opowiedzianych na nowo, przekształconych. Historii, które nie pragną być niczym więcej niż fikcją historii, które nie udają życia.

Amerkański powieściopisarz Robert Coover postępuje niczym szalony operator kinowy, który znalazł się w magazynie pełnym krążków celuloidowej taśmy. Panuje tu straszny nieporządek. Filmom brakuje przeważnie początku albo końca. Wyobłąnia czyni cuda i nie tylko na ekranie, ale i poza nim dzieje się bardzo dziwne rzeczy.

„Wieczór w kinie” zbudowany jest z tworzywa najpośledniejszego gatunku z fabuły, które opowiedziane w całości i pozbawione ironicznej stylizacji dałyby w efekcie wrażenie kiczu. To właściwie żadne odkrycie, skoro już pół wieku temu przepowiedziano, że kicz przyniesie w końcu zagładę kulturze śródziemnomorskiej.

Coover nie jest katastrofista na miarę Brocha. Nie jest prorokiem ginącego świata. Przyjmuje rolę zręcznego stylizatora, twórcy prozy perfekcyjnej i trochę dekadentycznej. Zaledwie sugeruje, że poza śmietnikiem masowej wyobłątni, gdzie mieszkają i kowboje, i gangsterzy, i Chaplin w meloniku, kryć się może jakaś inna rzeczywistość.

Może odslania się nam ona w momencie, gdy kinooperator zmienia szpulę filmu i ekran gaśnie. Co zobaczymy w ciemności nie wiadomo. Ale może któremś z widzów przyjdzie do głowy jakaś niebanalna myśl zamiast oczekiwanie na upragniony „ciąg dalszy”?

Jan Tomkowski

Robert Coover: Wieczór w kinie. Przetłumaczył Michał Kłobukowski. PIW Warszawa 1991.

KIT

Centrum Kultury i Sportu Policji w Warszawie (ul. Rakowiecka dobrze kojarzy się szczególnie ze sportem), ogłosiło konkurs „twórczości niekomercyjnej w Technice video NASZA POLICJA SŁUŻBA, ŻYCIE, KULTURA” (pisownia oryginalna).

Intencje i cele konkursu przedstawione są następująco:

„Kultura i jej upowszechnianie to imponowalność, sprzyjające akceptowaniu i przyśpieszaniu przemian społeczno-ustrojowych w naszym kraju, a tym samym stwarzające niezbędne podłoże do integracji Polski z nowoczesną cywilizacją rozwiniętych krajów Europy i świata. Jest także aktywnym czynnikiem oddziaływania na świadomość społeczną w kształtowaniu korzystnego obrazu i autorytetu Policji. Stąd wydaje się być szczególnie uzasadniony i pożądanym zaangażowany udział środowiska policyjnego zarówno w kompetentnym odbiorze kultury, jak też w różnych aktywnych formach amatorskiej twórczości i działalności artystycznej.

Celem konkursu jest uaktywnienie twórcze ludzi służbowo lub hobbystycznie związanych z techniką video, a także zachęcenie szerokiego grona twórców nieprofesjonalnych ze środowisk cywilnych do zainteresowania się wielokierunkową i atrakcyjną tematyką filmową, związaną z działalnością Policji... i tak dalej.

Kultura i sztuka, to rzeczywiście „imponowalność... itd.”, ale czy te słowa nie są zbyt duże dla usprawiedliwienia amatorskiego konkursu videofilmów? Czy użycie „najgrubszej rury”, detej stylistyki, przywołanie Europy, ba świata, wystarczy zdaniem autorów pomysłu by impreza jawiła się jako poważny fakt artystyczny o kapitalnym znaczeniu kulturowym? Prawie Cannes (w wymiarze policyjnym).

Czy w sytuacji, gdy Policji brakuje ludzi, sprzętu i środków, przestępczość rośnie, a wiara w porządek i stabilizację maleje, nie należałoby za pieniądze utopione w tym konkursie wyposażyć porządną centralę telefoniczną lub kupić choć jeden radiowóz? Albo wybudować solidną kaplicę, gdzie policjanci będą się gorąco modlić o świat bez przemocy i spokojne jutro? A potem oddawszy sprawę we właściwe ręce pójść kreć filmy dla kształtowania korzystnego obrazu i autorytetu policji w społeczeństwie...

Marek Koprowski

Hipotezy, przypuszczenia, poglądy

Gdzie zmarł generał Leopold Okulicki?

W książce Adama Bienia „Bóg jest wyżej, dom jest dalej”, jednego z „Szesnastu” sądzonych w Moskwie w 1945 roku, znajduje się taki fragment dotyczący gen. Leopolda Okulickiego. Zdaniem Adama Bienia i współtowarzyszy w celi na Łubiance w Moskwie obok nich siedział gen. Leopold Okulicki. Postawiono 24 grudnia 1946 roku w wigilie Bożego Narodzenia przestać mu w tubce pasty do zębów list.

„Nadszedł ten dzień – pisze Adam Bień. – Od rana obserwujemy generała. Rano z wielkim łoskotem, jak człowiek silny i zdrowy, wykonał normalną gimnastykę, a potem w celi jego zaległa zwykła o tej porze cisza...”

I taka sama cisza zaległa w naszej celi. Była to przecież Wigilia Bożego Narodzenia, która wszystkich nas, więzionych Polaków, pogrążyła we wspomnieniach i zadumie. I wśród wigilijnej owej ciszy, o godzinie jedenastej drzwi celi generała ze zwykłym zgrzytem otworzyły się nagle, krótko coś do generała powiedziano i drzwi zamknięto. Byliśmy pewni, że generałowi w zwykły sposób zapowiedziano spacer. Nic podobnego! Natychmiast po zamknięciu drzwi generał z całej siły zaczął walić pięściami w dzielącą nas ścianę, a nie w podłogę, jak to czynił zwykle. Było jasne, że w życiu generała następuje coś bardzo dziwnego, ale nie wiedzieliśmy co. Za chwilę drzwi jego celi znowu się otworzyły i generał z głośno manifestowanym brutalnym hałasem, mocnymi krokami wyszedł. Do dziś słyszę te mocne kroki. Wyszedł, nigdy nie wrócił i nigdy na Łubiance nie dostrzeżliśmy potem śladu jego istnienia”.

W 1956 roku pisze Andrzej Przemyski w książce „Ostatni komendant generał Leopold Okulicki” podano, że gen. Leopold Okulicki zmarł na serce 24 grudnia 1946 roku. Data ta podana jest też w liście MSZ ZSRR do Ambasady Polskiej w Moskwie ze stycznia 1990 roku. Pisze się tam:

„... Okulicki Leopold Błażejewicz, urodzony w 1898 roku, generał brygady, dowódca „Armii Krajowej” na mocy wyroku kolegium Wojskowego

Sądu Najwyższego ZSRR z 21 czerwca 1945 roku” został skazany „na 10 lat pozbawienia wolności. W czasie odbywania kary Okulicki L.B. 24 grudnia 1946 roku zmarł w szpitalu więzienia na Butyrkach MSW ZSRR na skutek porażenia serca i zwłoki jego zostały poddane kremacji...”

Jak już z tego widać istnieje pewna sprzeczność pomiędzy relacją Adama Bienia i pismem MSZ ZSRR. Po pierwsze nigdy do końca nie było wiadomo, czy sąsiad z celi Adama Bienia jest rzeczywiście gen. Leopoldem Okulickim i co się naprawdę z nim stało? Po drugie list MSZ ZSRR jako miejsce śmierci wymienia szpital więzienny na Butyrkach, a nie Łubianki. Po trzecie mężczyzna z celi sąsiadującej z celi Adama Bienia był silny i zdrowy, a gen. Leopold Okulicki był ciężko chory na serce. Po czwarte kierownik Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Moskwie Michał Żurowski nie wierzył w podaną wersję śmierci gen. Leopolda Okulickiego i czynił starania o odnalezienie akt osobowych generała. Poza tym pojawiła się zupełnie nowa i przynajmniej dość fantastyczna wersja śmierci generała Leopolda Okulickiego polskie więzienie we Wronkach.

W miesięczniku „Karta” (nr 1 z 1991 roku) opublikowano listy, jakie otrzymała redakcja telewizyjnej audycji „Rewizja nadzwyczajna”, a które dotyczą pobytu gen. Leopolda Okulickiego we Wronkach. Oto fragmenty tych listów:

Jan Szymczyk, Bolechowo: „Pragnę powiadomić, że w 1948 był we Wronkach więzionym z procesu „Szesnastu”. Przebywałem z nim przez trzy-cztery dni w malej celi było nas tam ośmiu. (...) Po krótkiej rozmowie oświadczył, że jest z procesu sztabu AK, który odbył się w Moskwie w 1945 roku. Nie wie, dlaczego przywieźli go do Polski, do obecnej chwili nie miał kontaktu z ludźmi, siedział w pojedynczej celi. Był bardzo szczęśliwy, że może rozmawiać z ludźmi i bardzo dużo opowiadał. Pamiętam tylko, że był w Sztabie Obrony Warszawy w 1939 roku, że miał stopień pułkownika, że zamienił swoje dokumenty z kimś,



któ zginął podczas bombardowania, że nie utrzymywał żadnych kontaktów z rodziną ani bliskimi, mimo że z Wronek pisał do Czerwonego Krzyża. We Wronkach pisał książkę o tematyce wojskowej...”

Zbigniew Kurc, Szczecin: „... w żadnej celi we Wronkach nie siedzieli ośmiu ludzi nigdy. Wszystkie cele były 4-5 osobowe (pięć rzadko) i były cele pojedyncze (skrzydło D), gdzie byli przetrzymywani znaczniejsi więźniowie”. Zdaniem Zbigniewa Kurca nikt nie mógł mieć przyborów do pisania, gdyż to było zabronione, a do napisania listu dawano takie przybory na godzinę i to raz w miesiącu.

A jednak zapiski gen. Leopolda Okulickiego czynione we Wronkach wracają w liście T. Nowaka, który pisze, że zapiski te znalazł przypadkowo Jan Krysta z Żor koło Rybnika, ale zaraz „zniknął z oddziału ogólnego i do końca kary był izolowany w pojedynczej celi na bloku nr 2”.

Zbigniew Królikowski, Szczecin: „Generał Okulickiego znałem tylko z opowiadania, ale wiem z całą pewnością, że przebywał we Wronkach w karnej celi izolacyjnej, w pawilonie głównym, oddział B, trzecie piętro. Była to celi siódma licząc od głównego holu z lewej strony. Cele te miały charakter wyłącznie karny, dyscyplinarny, a więźniów, którzy w nich przebywali, strażnicy traktowali w nieludzki sposób”. Do takiej celi dostał się również Zbigniew Królikowski. Na ścianach celi były różne napisy. „Przy samym oknie zainteresował mnie dość czytelny napis. Cytuję: Tu siedział gen. Okulicki 1948 r. dalej nie mogłem już odczytać”. Zdzisław Wójtowicz z Krakowa napisał, że we Wronkach zetknął się w 1949 roku z Janem Stanisławem Jankowskim delegatem rządu w Londynie sądzonym w czerwcu 1945 roku w Moskwie, który miał mu powiedzieć, że widział przez okno na spacerze gen. Leopolda Okulickiego, Jan Stanisław Jankowski według relacji Zdzisława Wójtowicza zmarł we Wronkach, gdyż nie podano mu na czas lekarstwa na serce. Natomiast według wersji MSZ ZSRR ze stycznia 1990 roku zmarł on 13 marca 1953 roku w więzieniu Władimirskim MSW ZSRR „na skutek niewydolności serca i stwardnienia tętnic” i tam został pochowany we wspólnej mogile.

Zygmunt W. Gondek z Piwnicznej opowiedział, jak przysłuchiwał się rozmowie dwóch więźniów, którzy zastanawiali się nad tym, czy generał Leopold Okulickiego nie przywieziono do Polski w związku z procesem gen. Stanisława Tatara. A może to był tylko ktoś ze świadków występujących w procesie „Szesnastu” w Moskwie?

Józef Srokowski, Kraków: „Stwierdzam, że generał Okulicki przebywał we Wronkach w więzieniu w okresie mego pobytu tam od 1947 do listopada 1949. Ja siedziałem w celi na skrzydle B, gdzie były cele zbiorowe, zaś gen. Okulicki siedział na skrzydle B w pojedynczej tuż obok celi, w której siedział profesor Mierzwa (zmarł w Krakowie w 1989 roku). Podaję jeszcze, że przez skrzydło D chodziłem do pracy tuż koło celi, w której siedział gen. Okulicki”.

Jak było naprawdę? Redakcja „Karty” powołując się na prokuraturę, która prowadzi w tej sprawie śledztwo, utrzymuje, że dla zatuszowania sprawy śmierci gen. Leopolda Okulickiego popełniono kilka morderstw. Czy uda się do końca rozwiązać tę zagadkę? Może ktoś z Czytelników ma w tej sprawie jakieś ciekawe informacje. Prosimy napisać.

Opracował:
Eugeniusz Puchowicz

Politycy II Rzeczypospolitej Wincenty Witos

Jedną z najpopularniejszych postaci sejmów II Rzeczypospolitej. Sprawozdawca sejmowy „Naszego Przeglądu” Bernard Singer tak o nim pisał w książce „Od Witos do Sławka”:

„... kroczy on sam, prawdziwy wódz sejmowy, Wincenty Witos. Skrzypi podłoga pod jego ciężkimi krokami. Nie patrzy nikomu w twarz. Idzie z przyjacielem Kiernikiem, patrzącym prawym okiem w lewą stronę i lewym ku prawej. Witos wita się z odcieniem wyższości, przywołuje imię przywódców sejmowych skinięciem ręki. Ruchy, chód i wzrok stalowych oczu wszystko jest jakby wypróbowane u Witos. Koledzy z jego klubu odczytują każde jego skinienie, studiując znaczenie każdego ruchu. Kręcą się koło niego jak poddani inteligencji klubu: Dębski, Rataj, Kosydarski.

Kto wie, może rzuci jednemu z nich kość? Tego uczyni ministrem, drugi otrzyma koncesje, tamten zostanie prezesem urzędu ziemskiego. Tylko jeden patrzy na niego z nienawiścią. To poseł Stapiński. Witos zniszczył go w Galicji, a obecnie odbiera śmietanie z misy państwowej”.

Tu trzeba pokrótce wyjaśnić, kim są ludzie wymienieni przez Bernarda Singera. Władysław Kiernik (1879-1971) to najbliższy współpracownik Wincentego Witos, adwokat z Bochni, działacz ruchu ludowego w Galicji, a później, w Polsce przedwojennej i powojennej, legionista, starosta powiatu bocheńskiego, wielokrotny minister w rządach II RP przed 1930 rokiem, członek delegacji Polski na rokowania w Mińsku i Rydze z delegacją Rosji Radzieckiej, wiezień twierdzy brzeskiej, emigrant polityczny, aresztowany i śledzony przez gestapo, po wojnie działacz PSL, przewodniczący polskiej delegacji na ONZ.

Jan Dębski (1889-1976) nauczyciel, legionista, działacz PSL „Piast” i PSL „Wyzwolenie”, poseł na Sejm RP, wicemarszałek Sejmu RP, redaktor „Ludowca” i „Woli Ludu”, żołnierz AK, członek władz ZSL.

Władysław Kosydarski (1884-1954) nauczyciel, absolwent Politechniki Lwowskiej, inżynier, działacz PSL „Piast”, poseł na Sejm RP, pracownik portu w Gdyni, a po wojnie w Szczecinie, poseł na Sejm PRL.

Jan Stapiński (1867-1946) publicysta „Przyjaciela Ludu”, „Wiefca”, „Pszczółki”, prezes PSL, założyciel PSL Lewica, Związku Chłopskiego, poseł na Sejm RP, przeszedł do BBWR, przed samą wojną wycofał się z życia politycznego i osiadł w majątku Klimówka w powiecie Grzybów, podczas wojny ukrywał się w Korczyniu koło Krosna.

Maciej Rataj, marszałek Sejmu RP, nauczyciel, publicysta, zamordowany w 1940 roku w Palmirach koło Warszawy. W najbliższym czasie napiszemy o nim obszerniej.

Wincenty Witos – jak twierdzi Bernard Singer – dyrygował polityką II Rzeczypospolitej przynajmniej do przewrotu majowego w 1926 roku. Decydował nie tylko o pracy Sejmu.

„Kryzys rządowy – pisze B. Singer – trwa kilka tygodni, albowiem „on” nie wypowiedział swego zdania. Odbywa się długa debata sejmowa w sprawie reformy rolnej. Ziemianie są gotowi na drobny kompromis. Lewica demonstruje, PPS atakuje, chłopci Witos łączy się z muzyką lewicy i wołają: ziemi! Obydwe strony stoją w oczekiwaniu. Lewica liczy głosy, mierzy siły. Walka przenosi się do konwentu seniorów. Zwoluje się jeden konwent za drugim, by zatrzeć konflikt krakowskim targiem. Witos patrzy w kąt i milczy. Konwent seniorów rozchodzi się bez rezultatów”.

Zdarzało się i tak w sejmach II RP, że posłowie... śpiewali. „Zaraz dojdzie do krwawej bójkę – pisze Bernard Singer. – Duch Szeli unosi się na sali, ale oto Witos spogląda na swoich piastuszków. Bójka? Przerwanie wszystkich stosunków z prawicą? Nie. Nie dopuści. Daje znak ręką, wstrzymuje swoich piastuszków, którzy rwą się do ław prawicy. Postawie Dura i Smola intonując basem pieśń powstańczą: „Gdy naród do boju”. 150 mocnych chłopskich głosów podchwytuje pieśń. Gdy dochodzi do słów „o cześć wam panowie magnaci” rosną głosy, wznoszą się ton basowy, a w dźwiękach daje się odczuć oburzenie, chłopska złość. Wtórowali im PPS... Jeden chłop milczał. Był to Witos. Spuścił oczy i czekał, gdy koledzy zakończą pieśń. Szybko skierował kroki ku drzwiom i wyprowadził swoich posłów”.

Wincenty Witos urodził się 21 stycznia 1874 roku w Wierchosławicach, gdzie później gospodarzył i przez wiele lat był wójtem. Miał tam 17-morgowe gospodarstwo. Ukończył szkołę ludową i był samoukiem. Był korespondentem „Przyjaciela Ludu”. Działał w SL i PSL. Był posłem na Sejm Krajowy w Galicji. W 1914 roku został prezesem PSL „Piast”, przewodniczył Polskiej Komisji Likwidacyjnej we Lwowie, po 1918 roku również prezesował PSL „Piast”. Był wielokrotnie posłem na Sejm RP, premierem, współtwórcą Centrolewu. Więziony w twierdzy brzeskiej, skazany w brzeskim procesie udał się nielegalnie na emigrację do Czechosłowacji. Nielegalnie powrócił też w 1939 roku do Polski. Był więziony przez gestapo.

Zmarł 31 października 1945 roku w Krakowie.

Opracował:
LEOPOLD KOSTERNIK

Dawna Łódź

Ostatni prezydent

Podługtrwałych rządach komisarycznych w Łodzi został 18 grudnia 1938 r. do kolejnych wyborów samorządowych. W ich wyniku prezydentem miasta został 54-letni działacz PPS i Związku Zawodowego Robotników RP – Jan Kwapiński.

Nowy gospodarz miasta, przejmujący urząd od komisarycznego prezydenta Mikołaja Godlewskiego, nazywał się właściwie Piotr Chałupka, ale przywykł do swego konspiracyjnego pseudonimu. Jan Kwapiński miał za sobą chlubną przeszłość działacza niepodległościowego i katorżnika. Już jako 16-letni robotnik Zakładów Ostrowieckich wstąpił do PPS. Partia skierowała go po paru latach do szkoły instruktorów Organizacji Bojowej PPS w Krakowie. Po jej ukończeniu został skierowany do okręgu łódzkiego, gdzie kierował „szóstkami” bojowymi w Dąbrowce i w Zgierzu. 8 listopada 1906 r. uczestniczył w głośnym napadzie na pociąg pocztowy pod Rogowem, a już w grudniu kierował zamachem na oberpolicmajstra Hariona Chrzanowskiego w Łodzi. W obawie przed szpiclami zbiegł do okręgu częstochowskiego, ale już 23 kwietnia 1907 r. został aresztowany w Wadowicach pod Zawierciem, skazany na śmierć, ułaskawiony przez generał-gubernatora Georgija Skałona i zesłany na 15 lat katorgi do Orła, miasta obwodowego nad Oką. Rewolucja lutowa 1917 r. w Rosji przyniosła mu wolność i powrót do pracy partyjnej w miejscowej sekcji PPS, którą zorganizował wspólnie z Aleksandrem Prystorem. Wezwany do kraju został niebawem członkiem, a wkrótce wiceprezesem Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS. W 1922 r. był posłem na Sejm z okręgu krakowskiego, pracował w Komisji Budżetowej oraz w Komisji Rolnej i Reform Rolnych.

Przyjechał do Łodzi, by objąć stanowisko prezydenta 3 marca 1939 r. Na dworcu Fabrycznym oczekiwali nań wiceprezydenci: Adam Walczak, Artur Szewczyk i Antoni Purlal oraz licznie zgromadzona publiczność. Jan Kwapiński powiedział, wysiadłszy z pociągu: „Witam was i zapewniam, że będę pracował dla dobra miasta, jego ludności i klasy robotniczej. Jeśli wypełnię zobowiązania, które zaciągnęliśmy wobec was, jeśli będzie w Łodzi lepiej, będzie to najwyższą satysfakcją”. Na powitanie prezydenta zabrał głos przedstawiciel miejscowej organizacji PPS, przypominając wysokiemu urzędnikowi, jak to przed 32 laty przyjechał do Łodzi od strony Zgierza jako

instruktor organizacji bojowej PPS, by walczyć o niepodległą Polskę.

W urzędzie wojewódzkim prezydent i jego zastępcy zostali zaprzysiężeni przez wojewodę Henryka Józewskiego, po czym mogli przystąpić do pełnienia obowiązków służbowych. Jan Kwapiński już wkrótce mógł się poszczycić nie lada sukcesem. Podczas obrad Rady Miejskiej zwalczał gadulstwo i demagogię i może dzięki temu mimo antagonizmów wśród członków rady tym razem panowała zdumiewająca jedność. Budżet miasta został po raz pierwszy w dziejach łożdy uchwalony jednogłośnie i przedstawiony wojewodzie do zatwierdzenia.

Tymczasem odroczone budowę Akademii Lekarskiej, zobowiązując prezydenta do wskazania odpowiednich terenów pod budowę uczelni, potwierdzono oddanie jesienią do użytku Miejskiej Biblioteki Publicznej, której budowę rozpoczęto przed rokiem. Planowano przebudowę pl. Dąbrowskiego i wzniesienie tam reprezentacyjnego gmachu urzędu wojewódzkiego, zatwierdzono dalsze poszerzenie i przedłużenie al. Kościuski do ul. Skorupki oraz budowę nowoczesnego urzędu pocztowego przy al. Kościuski 5/7.

Wyjechał z Łodzi na zawsze 4 września 1939 r. wraz z żoną Anną i córką Aldoną, najpierw do Warszawy, a potem w stronę Zaleszczyk. Tam dowiedział się o wkroczeniu Armii Czerwonej do Polski, nie przekroczył jednak granicy Rumunii, lecz podążył przez Tamopol do Złoczowa, gdzie dotarła doń wiadomość o aresztowaniu w Kowlu wiceprezydenta Łodzi Adama Walczaka, po którym wszelki ślad zginął. Jan Kwapiński został aresztowany przez NKWD nocą z 28 na 29 czerwca 1940 r. i wkrótce zesłany do Jakucka. Zwolniony z łagru pełnił obowiązki delegata ambasady rządu emigracyjnego w Taszkencie, lecz wkrótce znalazł się w Londynie, gdzie gen. Władysław Sikorski powierzył mu tekę ministra przemysłu i handlu. Po śmierci Sikorskiego wszedł w skład rządu Stanisława Mikołajczyka, a następnie Tomasza Arciszewskiego. Zmarł 4 listopada 1964 r. w Londynie w przeświadczeniu, iż rząd Polski zwanej Ludową „utworzony został na podstawie nie mającej precedensu, gdy całe terytorium Polski jest okupowane przez wojska sowieckie i gdy Polacy pozbawieni są podstawowych praw człowieka i obywatela”.

Andrzej Kempa

Dokumenty

ŁAMBINOWICE leżą na Opolszczyźnie. W 1871 roku po wojnie prusko-francuskiej założono tu obóz dla jeńców. W czasie pierwszej wojny światowej był tu obóz dla żołnierzy Ententy. W czasie drugiej wojny światowej Wehrmacht trzymał tu jeńców państw koalicji, w tym i Polaków. Był tu Stalag VIII B i F, przez który przeszło około 300000 jeńców, z tego na zawsze pozostało w Łambinowicach około 50000 osób.

Skończyła się wojna i mogło się wydawać, że obozy będą tylko smutnym wspomnieniem. Stało się inaczej. W czerwcu 1945 roku wojewoda śląsko-dąbrowski Aleksander Zawadzki wydał zarządzenie nr 88, na mocy którego utworzono obozy dla Niemców zdolnych do pracy. Taki obóz też powstał w Łambinowicach. Jego komendantem został 20-letni członek MO CZESŁAW GĘBORSKI, jego zastępcą 18-letni milicjant IGNACY SZYPUŁA. W Łambinowicach wzięto około 20000 opolskich ślązaków, którzy tym nie różnili się od Niemców, że znali również język niemiecki.

Co działo się w obozie w Łambinowicach przedstawia publikowany obok dokument „Sprawozdanie z wyjazdu do Niemodlina w dniach od 14 do 18 lutego 1946 roku”, a więc dość krótko po utworzeniu obozu. Łambinowice leżały w powiecie niemodlińskim. Dokument ten sporządziło 4 wysłanników KC PPR. Sprawozdanie to trafiło do rąk, według adnotacji uwidocznionej na fotokopii, Romana Zambrowskiego, który na I Zjeździe PPR wybrany został członkiem Biura Politycznego i sekretarzem KC PPR.

CZESŁAW GĘBORSKI w 1947 roku stanął przed sądem i sprawa została umorzona. Drugi raz stanął przed sądem w 1957 roku a więc w 10 lat później i został uniewinniony. Sąd nie dał wiary zeznaniom świadków. Czesław Gęborski wszystkiemu zaprzeczał, a IGNACY SZYPUŁA przyznał się do bicia więźniów. Czesław Gęborski pozostał w milicji i dosłużył się stopnia podpułkownika. Obecnie na emeryturze.

22 kwietnia 1991 roku Wojciech Górecki pisał w „Gazecie Wyborczej” o Łambinowicach i filmie, jaki w Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi tworzy reżyser Leszek Baron. Zanim film ten dotrze do widzów, warto zapoznać się z dokumentem o obozie polskim w Łambinowicach i o ówczesnych stosunkach panujących na Opolszczyźnie. To też fragment naszej przeszłości. „Sprawozdanie z wyjazdu do Niemodlina w dniach od 14 do 18 lutego 1946 r.” publikujemy za „Zeszytami Historycznymi” nr 91 z 1990 roku. Publikujemy je bez zmian, z następującymi wyjątkami.

1.W „Gazecie Wyborczej” Wojciech Górecki podaje nazwisko komendanta obozu: Gęborski. W dokumencie jest Gemborski. Uznaliśmy, że mógł to być błąd, skoro redakcja „Zeszytów Historycznych” usunęła kilka błędów ortograficznych, przyjęliśmy więc pisownię podaną przez autora „GW”.

2.W tekście dokumentu występuje kilkakrotnie nazwisko pierwszego sekretarza PPR w Niemodlinie Konus. We wnioskach ich autorzy piszą: Komus. Uznaliśmy to również za błąd i przywróciliśmy taką pisownię, jaka występuje częściej: Konus.

3.Autorzy sprawozdania powołują się na załączniki. Załączników tych nie ma.

Sprawozdanie z wyjazdu do Niemodlina w dniach od 14 do 18 lutego 1946 r.

Wyjechaliśmy do Niemodlina w składzie tow. tow.: Bielski, Tkocz, za zastępcę kierownika WUBP kpt. Kowalski, zastępcą komendanta woj. MO kpt. Gutman.

Stwierdziliśmy co następuje:

1. Charakterystyka powiatu

W powiecie mieszka 32477 mieszkańców, z tego 13490 osób to repatrianci przesiadłe. Z pozostałych 18987 4676 złożyło wnioski o weryfikację.

Stosunki w powiecie są bardzo zachwaszczone. Wszystkie stanowiska w administracji państwowej są przeważnie zajmowane przez mieszkańców Zagłębia, którzy traktowali, a częściowo traktują jeszcze dotychczas tubylczą ludność polską jako Niemców.

Wynikiem tego jest złe i okrutne odnoszenie się władz do miejscowej ludności polskiej, która wyżutą z wszelkich praw i bezkarnie grabiono. Bardzo częste są wypadki, że na gospodarstwach zweryfikowanych Polaków mieszkają repatrianci, którzy pozbawili tubylców wszelkich praw i w bezlistny sposób zmuszają ich do pracy jako swoich parobków.

W południowej części powiatu, w gminie Fryland, nie ma ani jednego gospodarstwa, gdzie by nie było dwóch gospodarzy tubylca i repatrianta. Dochodziło do tego, że w celach grabieży, w celach opanowania i osiedlenia się w nie zniszczonych i nie rozgrabionych jeszcze wsiach wysiedlono polskie wioski Ligota Kutnicka i Ligota Tułowicka, mieszkańców których osadzono w obozie w Łambinowicach.

W całym powiecie panuje straszne bezprawie. Ludzie stracili już poczucie krzywdy i sprawiedliwości. Żadna zbrodnia nie jest w stanie wywołać zdziwienia. Milicja, a częściowo Bezpieczeństwo gwałcą i grabią ludność. Dochodzi do tego, że ludzie uciekają w popłochu widząc milicjanta.

2. Sprawa osadzenia Polaków w obozie w Łambinowicach.

Obóz ten istnieje bez żadnej podstawy prawnej i nie jest utrzymywany ani uznawany przez żadną władzę zwierzchnią. Straż obozowa w liczbie 60-ciu kilku ludzi nie otrzymała jeszcze do dnia dzisiejszego



Baraki, w których przebywali jeńcy polscy

ŁAMBINOWICE 1945-1946

żadnego wynagrodzenia za pracę. Strażnicy żyją z rabunków, których dokonywują na wietniach oraz na ludności miejscowej, którzy są pod strachem. Bijatyki i gwałty są w obozie na porządku dziennym. Obecnie znajduje się tam około 1200 więźniów.

We wrześniu ub.r. wicestarosta Nowak podpisał nakaz wysiedlenia polskiej wsi Ligota Kutnicka i osadzenia jej mieszkańców w obozie w Łambinowicach. Według jego tłumaczenia miało to nakłonić pozostałe polskie wsie powiatu do szybkiego zgłaszania się do weryfikacji.

Kierownikiem obozu był w owym czasie niejaki Czesław Gęborski, który nieludzko znęcał się nad wietniami. On też jest winowajcą zamordowania 46 Polaków w obozie w październiku ub.r. oraz własnoręcznie zastrzelił znanego w powiecie działacza Związku Polaków w Niemczech.

Ludność powiatu jest przekonana, iż kierownictwo obozu dopuściło się morderstwa z nienawiści do ludności tubylczej, którą uważali za Niemców oraz z chęci grabieży. Wersja o tych wypadkach powodowana przez tamtejsze władze głosi, że Niemcy znajdujący się w baraku podpalili go, nie pozwalali gasić pożaru i rzucili się do ucieczki. Wówczas komendant obozu Gęborski wydał rozkaz strzelania w tłum, wynikiem czego zabitych zostało 44 ludzi (spis których załączamy).

Sekretarz Komitetu Powiatowego (PPR) Konus i Marek oraz były komendant Milicji uważają jednak, iż była to prowokacja ze strony Gęborskiego. Ze Gęborski jest odpowiedzialny za ową zbrodnię, jest też przekonana ludność powiatu.

Aresztowany przez UB (Urząd Bezpieczeństwa Publicznego) przyp. „Odgłosy”) Gęborski siedział krótki czas w więzieniu, jednak dzięki znajomościom oraz pokrewieństwu z zastępcą komendanta pow. MO podpor. Sulczyńskim udało mu się w krótkim czasie uzyskać doskonałe warunki w UB, tak, że będąc formalnie więźniem, faktycznie stał się urzędnikiem UB i przesłuchiwał oskarżonych oraz oprowadzał komisję radziecką, która przebywała w obozie w Łambinowicach. Dzięki staraniom swego szwagra podpor. Sulczyńskiego oraz kierownika UB podpor. Filipka oraz innych udało się wprowadzić w błąd wojewodę gen. Zawadzkiego (Aleksander Zawadzki późniejszy członek Biura Politycznego KC PZPR i przewodniczący Rady Państwa przyp. „Odgłosy”), który polecił zwolnić Gęborskiego i odesłać go do swej dyspozycji do Katowic, co też zrobiono. Na krok ten dał również swą zgodę wprowadzony w błąd przez tych samych ministrów ąwiatkowski (Henryk Świątkowski minister sprawiedliwości, od lutego 1945 roku przewodniczący Rady Naczelnej PPS przyp. „Odgłosy”).

Charakterystyczne jest, że wszystkie władze tamtejsze odnoszą się pobłażliwie do tych morderstw, tłumacząc to zaciekleścią Gęborskiego i innych strażników obozowych wobec Niemców.

Należy dodać, iż zostało absolutnie stwierdzonym, że straż obozowa oraz Gęborski dokonywali i dokonują często rabunków, przebiegając się w mundury żołnierzy radzieckich lub Wehrwofu (podziemnej organizacji hitlerowskiej przyp. „Odgłosy”).

3. Milicja i Bezpieczeństwo.

Kierownicy MO i UB odnoszą się z największym pobłażaniem do rabunków i gwałtów. Tolerują je oni tak dalece, że nawet w wypadkach, kiedy dochodzi do nich skargi, nie czynią oni prawie nic, by ukarać winnych. Doprowadziło to do tego, że nastawienie ludności do MO i UB jest nieprzychylnie. Zwłaszcza kobiety uciekają na widok milicjanta. Po zwolnieniu 26 milicjantów (wszyscy członkowie PPR) stan moralny milicji nie uległ żadnej poprawie. We wsi Grasz milicjanci dwukrotnie zarzynali woły zagra-

bione u miejscowych Polaków i sprzedawali mięso. Rabunki podczas rewizji oraz gwałty w ostatnich czasach miały miejsce w gminach: Dąbrowa, Fryland, Grabina. Komendant posterunku w Grabinie Kopyczyński został za to aresztowany i oddany do dyspozycji prokuratora w Opolu. W czasie naszego pobytu kpt. Gutman aresztował za gwałcenie w Dąbrowie 3 milicjantów.

Według opinii ogólnej wydział śledczy milicji pracuje niedobrze. Komendant pow. MO podpor. Bukalski został w czasie naszej obecności odwołany z zajmowanego stanowiska. Jego zastępcą podpor. Sulczyński cieszy się złą opinią. Swego czasu naszył on sobie bezprawnie drugą gwiazdkę, za co otrzymał nagane od pułk. Krtki.

Między Milicją a UB istnieje stosunek niechęci wzajemnej i częste są wypadki bójek między ich funkcjonariuszami.

Komendant UB Filipek, który jest w powiecie od początku, nie wykazuje poważniejszego zainteresowania dla tepienia nadużyć. Na odwrót, można powiedzieć, że łączyły go i łączą z różnymi szabrownikami wcale dobre stosunki. Na przykład były zastępcą kierownika UB, niejaki Książek, po zwolnieniu się z UB wystarał się o browar i objął kierownictwo browaru. Szalenie się wzbogacił (dochód oficjalny z browaru wynosi już około 1 mln zł). Robi różnego rodzaju interesy i kombinacje. Według powszechnej opinii jest on największym szabrownikiem w powiecie. Jednak tak kierownik UB Filipek, jak i starosta Bielecki są z nim w bardzo dobrych stosunkach. Zastępcą kierownika UB, podpor. Chmielnicki, jest obywatelem sowieckim. W roku 1940 ukończył uniwersytet w Kijowie, był wykładowcą jez. rosyjskiego na uniwersytecie we Lwowie. Powołuje się na znajomość z Romanem Werflem oraz Brystygierową (Roman Werfel, działacz partyjny PPR, później zastępcą członka KC, redaktor naczelny pism partyjnych, Julia Brystygierowa wysoki urzędnik Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, w latach 50-tych dyrektor Departamentu V – przyp. „Odgłosy”), twierdzi, że Wanda Wasilewska załatwia dla niego zmianę obywatelstwa. Tym niemniej obecność takiego człowieka w Niemodlinie musi się wydać podejrzaną.

Kilkakrotnie miały miejsce rabunki przy rewizjach ze strony funkcjonariuszy UB, jednak trudno zebrać fakty, gdyż ludność boi się je podawać.

4. Życie społeczne w powiecie.

PPR liczy na terenie powiatu około 400 członków, w 90 procent pracowników MO i UB oraz administracji. Z tubylców przyjęto dotychczas do partii tylko 2. Pierwszy i drugi sekretarz pow., Konus i Marek uczciwi i oddani sprawie towarzysze, są jednak stanowczo za słabi i nie dają sobie rady. Obaj są Szakami, tak że dzieli ich niechęć z pracownikami administracji, którzy są przeważnie Zagłębiakami. Partia ma słabe powiązania z masami i nie oddziałuje na masy.

PPS liczy 150 członków. Pracuje bardzo słabo. Współpraca z PPR „dobra”, to znaczy, że PPS-owcy robią, co PPR im każe.

Stronnictwo Ludowe zaczynało się dopiero tworzyć w czasie naszej obecności.

PSL-u nie ma jeszcze, jednak są już próby sprowadzania „Gazety Ludowej”. Na początku lutego br. był tam niejaki Teodor Czajewski, wizytator z kuratorium szkolnego w Katowicach, który próbował zorganizować PSL nie wiadomo jak i z jakimi rezultatami.

Samopomoc Chłopska liczy 1500 członków. Kierownik jej, tow. Bdzieński pracuje dobrze, zdobył sobie szacunek i zaufanie.

Nastroje wśród osadników i repatriantów są niedobre, a bardzo często wrogie wobec obozu

demokracji. Na przeprowadzonym przez nas zebnaniu aktywu partyjnego towarzysze skarżyli się, że repatrianci śmieją się z nich.

Samowola, gwałty i bezprawie doprowadziły do tego, że ludność zobojętniała na wszystko i lanknie tylko praworządności i walki z nadużyciami. Pod tymi hasłami odbył się też w niedzielę dnia 18 bm. wiec w Niemodlinie, który się bardzo dobrze udał i który wobec zapewnienia naszych, że odtąd będziemy walczyć z krzywdami i nadużyciami pozyskał nam zaufanie, którego nie wolno stracić.

5. Administracja.

Starosta powiatu Bielecki (PPR), dobry, cechuje go jednak wybitna tolerancja do różnego rodzaju kombinatorów. Nie współpracuje należycie z partią. Wicestarosta Nowak (PPR) uczciwy człowiek, jest odpowiedzialny za osadzenie w obozie w Łambinowicach polskiej wioski Ligota Kutnicka. Pracuje słabo. Inspektor samorządowy Wieciek walczy z nadużyciami, uczciwy, bardzo ambitny. Wiadomości jego co do nadużyć są często grubo przesadzone. Kierownik PUR-u (Państwowy Urząd Repatriacyjny przyp. „Odgłosy”) kpt. Jastrzębski, reakcjonista, on też był promotorem wsiedlania repatriantów do mieszkań miejscowych Polaków. Komisarz ziemski, reakcjonista, nie chce współpracować z Samopomocą Chłopską, osadził szereg byłych obszarników jako administratorów na majątkach państwowych. Za jego też zezwoleniem w majątkach państwowych płacą tubylcom za całomiesięczną pracę tylko 10 kg żyta.

W powiecie tym było popełnionych niezwykle dużo nadużyć i gwałtów, jednak dowody jest trudno zebrać, gdyż ludzie boją się coś mówić, zaś przedstawiciele władz kryją jeden drugiego. Można tylko stwierdzić, że były starosta powiatu Będzicha, który podobno pracuje obecnie w poselstwie RP w Sztokholmie, oraz były wicestarosta Bielski, który jest jakimś dyrektorem w Jeleniej Górze powinien stanąć przed sądem za nadużycia.

6. Stan gospodarczy powiatu.

Zniszczenia wojenne w powiecie oraz bezustanne rabunki początkowo przez kwatrujące wojska, później przez różnych szabrowników, doprowadziły ludność do strasznej nędzy. Na 3800 gospodarstw jest w całym powiecie zaledwie 2200 krów. Są całe wsie zamieszkałe przez ludność tubylczą, gdzie nie ma dosłownie ani jednej krowy. Ludzie chodzą obdarci, bosi i głodni. Istnieje konieczność natychmiastowego przyścia z pomocą w pierwszym rzędzie tubylczej ludności.

Piaszczysta ziemia powiatu wymaga dużej ilości nawozów sztucznych. Brak pieniędzy w powiecie uniemożliwia chłopom zakup nawozów. Żala się oni, że oddają kontyngent po cenach sztynnych, a za nawozy muszą płacić ceny paskarskie (240 zł za kg). Mimo że powiat zdał już w 80-ciu kilku procentach kontyngent, nie otrzymał jeszcze żadnych towarów premiowych. Kierownik „Społem” Pawlak odmawia współdziałania w akcji siewnej, nie chce nawet pożyczek węg, odważników i worków niezbędnych do przewozu zboża siewnego. Posiada w centrali w Katowicach dowody zakupu na kilkadziesiąt tysięcy worków i innych artykułów, o których powszechnie wiadomo, że zostały wyszabrowane na miejscu. Kartofle, za które płaci chłopom po 9 zł za metr, sprzedaje po zmarznieniu do browaru po zł 130, co wywołuje oburzenie.

Bieda w powiecie utrudnia agitację i werbowanie nowych członków do partii. Charakterystycznym jest, że do Wehrwofu należą przeważnie synowie już zweryfikowanych Polaków, którzy idą na lep reakcyjnej agitacji, że nawet jak będą zweryfikowani, to zostaną przesiedleni na wschód.

7. Wnioski.

Aby naprawić krzywdy wyrządzone ludności, aby poprawić sytuację polityczną i gospodarczą w powiecie konieczne jest:

a) Usunięcie wszystkich skompromitowanych pracowników, którzy są współodpowiedzialni za popełnione gwałty i nadużycia, jak wicestarosta Nowaka, którego należy ukarać za osadzenie w obozie mieszkańców polskich wsi, kierownika UB Filipka, jego zastępcy Chmielnickiego, zastępcy komendanta MO podpor. Sulczyńskiego, burmistrza miasta Niemodlina Pajaka, komisarza ziemskiego, a także po pewnym czasie należy zmienić starostę Bieleckiego.

b) Wzmocnić aparat partyjny, posyłając tam kilku dobrych towarzyszy, wśród nich pierwszego i drugiego sekretarza Woj. Komitetu, pozostawiając jednak dotychczasowego pierwszego i drugiego sekretarza tow. tow. Konusa i Marka jako uczciwych ludzi, znających teren na miejscu.

c) Należy radykalnie zmienić politykę wobec tubylczej ludności polskiej przez wysunięcie działacza tamtejszego bezpartyjnego Czecha ze wsi Niewodniki na pierwszego wicestarostę oraz przez śmiałe wzięcie do pracy w administracji państwowej, milicji i UB szeregu tubylców, by ludność miała dowody, że demokratyczna Polska to ich władza.

d) Zlikwidować obóz w Łambinowicach i wywieść znajdujących się tam Niemców do innych miejscowości.

Ukaranie wszystkich winnych nadużyć i gwałtów nad miejscową ludnością.

e) Przyjście z pomocą ludności przez kredyty pieniężne na zakup materiału siewnego i nawozów sztucznych, przydzielenie pewnej ilości bydła, pomoc Opieki Społecznej w postaci odzieży i obuwia. Rozdanie premii za dostarczone świadectwa rzeczowe i przywiezienie towarów przemysłowych.

f) Przeprowadzenie kampanii politycznej pod hasłem o praworządność przeciwko nadużyciom.

Katowice, 22 lutego 1946 roku.

Bielski, Tkocz, Kowalski, Gutman



Z.P.P. „Sandra“

SANDRA

w Aleksandrowie Łódzkim oferują najbogatszy oraz jedyny w kraju asortyment skarpet, podkolanówek, rajstop. Tylko w maju udzielamy 50% bonifikaty sezonowej. Życzymy udanych zakupów: Aleksandrów Ł. ul. Piotrkowska 10/12 ul. Wojska Polskiego 64 Kutno al. ZHP nr 8 Kościan ul. Wrocławska 30 Pogorzelnica/Niechorze Ośrodek Wczasowy „Sandra“ Poszukujemy akwizytorów lokali sklepowych do 70 m² tel. 12-17-24, 12-10-30, 52-22-17



**NATURALNE
SKŁADNIKI
ZDROWE
KOSMETYKI**

zaprasza do naszej HURTOWNI

EWA PLUS

Łódź, ul. Tuwima 98, tel. 74-64-37, telex 88-67-69, fax 32-43-90 godziny otwarcia: 7.00 19.00 codziennie 7.00 15.00 soboty oferujemy wyroby naszej fabryki: ziołowe szampony do włosów kolorowe emalie do paznokci kremy „Gejsza“ balsamy do rąk „Alabaster“ zestawy kosmetyków „Tramp“ do pielęgnacji stóp artykuły producentów krajowych artykułów producentów zagranicznych umowy długie terminy płatności bonifikaty transport

Firma SERTAL posiada w ciągłej sprzedaży:

NA RATY!!!



Pralki, lodówki, zamrażarki Telewizory i video „Sony“, „Samsung“, „Philips“, „Panasonic“ Sprzęt gospodarstwa domowego Oświetlenie Elektronarzędzia, pompy wodne, hydrofory I wpłata 20% na 12 rat HURT I DETAL w firmie „SERTAL“ Pawilon Łódź, ul. Franciszkańska 99 57-60-47

Zaproszenie

Firma „Maxbud“

zaprasza Państwa do swojego składu celnego w Łodzi, ul. Pojezińska 2/6 (pawilon I piętro) tel.: 55-30-36 lub 14-12-65 oferując: usługowe magazynowanie importowanych towarów z zapłatą cła i podatku obrotowego przy odbiorze ze składu realizowanie zamówień na importowane zabawki, sprzęt oświetleniowy, teczki, aparaty telefoniczne itp. według wystawionych wzorów oraz katalogów bezpłatny transport zakupionych hurtowo towarów na odl. 60 km.

PPUH „ANGRA“ oraz hurtownia „WOŁODIA“

posiadające sieć sklepów na terenie kraju zapraszają do współpracy producentów odzieży i artykułów przemysłowych oraz bezpośrednich importerów artykułów spożywczych i przemysłowych. Kontakt Łódź ul. Wschodnia 76 lub Narutowicza 24 tel. 32-19-76.

Hurtownia „**Wołodia**“ oferuje do sprzedaży w pełnej gamie kolorów crach, wiskoza, haut, taktyl, żorzeta, trylobal, szatung, (zasłonowe) jersej, welur (drukowany, gładki) szyfon ŁÓDŹ. Wschodnia 76 tel. 32-19-76.

Redakcja miesięcznika

„Bestseller“

przyjmuje prenumeratę z wysyłką pod wskazany adres na następne 5 numerów pisma (8, 9, 10, 11 i 12). Cena jednego egzemplarza 5.000 zł. Zlecenie prenumeraty można złożyć osobiście w redakcji „Bestsellera“ w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 189/191 (pokój nr 5) codziennie w godz. 10-15 lub przesyłając na konto miesięcznika w Powszechnym Banku Gospodarczym II Oddział w Łodzi nr 344612-5500-132 kwotę 25 tysięcy zł z zaznaczeniem na przekazie, że wpłata dotyczy numerów 8, 9, 10, 11 i 12.

Bioenergoterapeuta

KAROL

Zestawy ziół Masaże
Al. Kościuszki 3 Łódź

**NAPRAWA SPRZĘTU
RADIOKOMUNIKACYJNEGO**

tel. 43-36-04 Polecamy Państwu usługi w zakresie: napraw radiotelefonów UKF, CB innych urządzeń nadawczo- odbiorczych wzmacniaczy antenowych przyrządów kontrolno- pomiarowych montażu radiotelefonów CB przewoźnych i stacjonarnych opracowywanie, montaż, uruchamianie sieci radiotelefonicznych UKF-FM w godz. 9.00 16.00 Roman Kulesza Łódź Nałkowskiej 5 m 70

NIEODPŁATNE
POŚREDNICTWO
PRACY BIURO
TLUMACZY
CONSULTING -
MARKETING



PL-90-422
Łódź, ul. Piotrkowska 67
tel. (004842) 33-73-84,
13-21-70, 873430
fax 33-73-84

SEVEN® sp. z o.o.

**ADRESOWY BANK DANYCH RFN, BELGIA, ZSRR i
WIELKA BRYTANIA**

wynajmowanie samochodów osobowych i limuzyn Mercedes z kierowcą

POŚREDNICTWO

w nawiązywaniu kontaktów zagranicznych oraz informacje adresowe firm, urzędów i instytucji w RFN, Austrii, Belgii, Holandii, Szwajcarii, W. Brytanii i ZSRR pracy, szczególnie osób z kwalifikacjami i referencjami mieszkaniowe kupna sprzedaży zamiany, videooferty tłumaczenia na żywo, obsługa spotkań oraz tłumaczenie tekstów prywatnych, handlowych i wydawnictw opracowanie graficzne znaków i pism firmowych oraz kopiowanie lub drukowanie pism, wizytówek, ulotek reklamowych kojarzenie wolnych miejsc dla przejazdów samochodowych w Polsce telefaxowe, telexowe i telefoniczne komputerowa wizualizacja projektów architektonicznych w programie ArchiCad komputerowe filmy reklamowe impresariat artystyczny organizacja targów, spotkań i konferencji w kraju i za granicą sekretariaty dyrektorskie z pełnym serwisem na terenie Polski i RFN

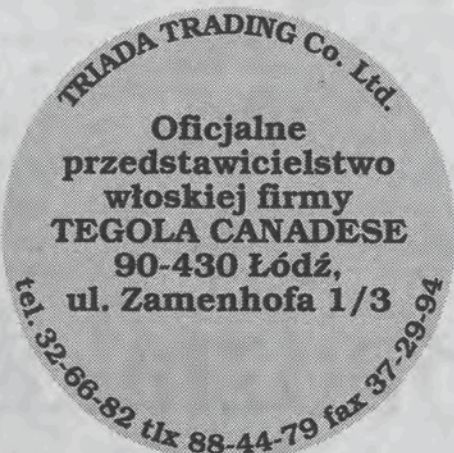
SEVENCARD upoważniająca do korzystania z usług z opustem cenowym w sieci zakładów usługowych, motoryzacyjnych, budowlanych i sklepów w wielu miastach Polski MANAGER CARD HAMBURG upoważniająca do korzystania z wielu ekskluzywnych usług na terenie zachodniej Europy

**WYKONAWSTWO I MATERIAŁY BUDOWLANE TO
RÓWNIEŻ NASZA SPECJALNOŚĆ SEVEN TO PRO-
FESJONALIZM DLA TYCH NIEWIELU, KTÓRZY
MAJĄ DUŻE AMBICJE**





Triada



Popularne jest powiedzenie, że najważniejsza rzecz w życiu człowieka, to własny dach nad głową. Oprócz tego że własny, dach musi być **UBEZPIECZONY** i powinien być **PIĘKNY**.

Te właściwości zapewnia włoska firma **TEGOLA CANADESE**, producent bitumicznych pokryć dachowych. Dachówki bitumiczne są wysoko oceniane w świecie, a najlepszym tego dowodem jest ich wielka -popularność na wymagających rynkach: amerykańskim, niemieckim i austriackim. Firma daje niespotykane w świecie gwarancje: 10 lat na materiały i 20 lat na kolor. Praktycznie jest to **DACH NA CAŁE ŻYCIE!!!**

Dla porównania: polskie gwarancje obejmują okres 36-miesięczny.

DACH NA CAŁE ŻYCIE!!!

5-warstwowe dachówki bitumiczne nieporównywalne z innymi materiałami na świecie można układać na każdym sztywnym poszyciu: na drewnie, płytach wiórowych, blasze, stropach betonowych na każdym typie dachu. Posiadają międzynarodowe atesty jako nietoksyczne, niezapachowe i niepalne; mają również homologację Instytutu Technik Budowlanych w Warszawie. Polecamy je we wszystkich praktycznie kolorach, nawet „moro” dla obiektów wojskowych. Specjalny typ dachówki, to „Prestige”, pokrywane folią miedzianą, jedyne tego rodzaju na świecie, idealne dla obiektów zabytkowych i sakralnych.

W budownictwie jednorodzinym jest dziś moda na domy parterowe, pawilonowe. Muszą one mieć efekt lekkiego dachu. Dachówka firmy **TEGOLA CANADESE** zapewnia tę lekkość. Konserwatorzy zabytków i architekci nie chcą słyszeć o innej dachówce niż nasza, gdy poznali jej rozliczne zalety.

Konserwator wojewódzki w Łodzi zakupił 3 tys. m² tej dachówki na renowację obiektów zabytkowych. Na dachy płaskie o dużej powierzchni (np. elektrownie, obiekty przemysłowe, kolejowe) **TEGOLA CANADESE** poleca dachówki w rolkach, układane na gorąco. Gwarancje daje również na 10 lat (materiał) i 20 lat (kolor).

Pokryliśmy pawilony na terenach targowych w Poznaniu łącznie 4000 m² powierzchni dachowej. Gospodarze są nam wdzięczni, bo raz na zawsze

mają „z głowy” problem remontów i konserwacji.

Dachówki mogą być użyte również jako wykończenie elewacyjne na zewnątrz: mansardy, ściany boczne, a nawet całe ściany domów.

TEGOLA CANADESE zapewnia własny serwis: ekipy dekarzy, przeszkolone przez Włochów a autoryzowane przez nas, to wysoko kwalifikowani fachowcy, dający klientowi gwarancje na materiał i usługę. Regularnie szkoleni, zapoznani z najnowszymi technologiami, posługują się nowoczesnymi narzędziami, które otrzymują wprost od producenta. Działają kilkadziesiąt takich ekip na terenie kraju. Służymy listą ekip oni doradzają klientom w fazie wstępnej, nawet na etapie powzięcia decyzji.

Zatrudniani przez nas inżynier-architekt służy fachową pomocą w rozwiązaniach dachowych, wyborze odpowiedniego wariantu, a może również dach zaprojektować.

Oferujemy również dachy gotowe, wentylowane, docieplane. Każdy istniejący dach możemy: wentylować, odwilgocić, ocieplić lub podnieść stworzyć poddasze a wszystko z własnych materiałów. Zamiast szkodliwych (jak np. azbest), stosujemy bezpieczne, gotowe elementy dachowe (izolacja przeciwwilgociowa, ocieplenie) a wszystko w jednej płycie z wykończeniem od wewnątrz. Stale forsujemy nowe technologie. Projektujemy również zagospodarowanie poddaszy nawet w blokach!

Polecamy najtańszą w Polsce sklejke dla

Dachówki bitumiczne posiadają cechy najszlachetniejszych pokryć dachowych: są wodo- i ognioodporne, szczelne, nie wymagają żadnej konserwacji!!! Są lekkie: 1 m² pokrycia dachu waży 10 kg, podczas gdy dachówka ceramiczna 45 kg (1 m²), a betonowa 55 kg. Trzeba dla nich specjalnie wzmacniać dachy. Jest poza tym niezwykle łatwa w montażu: dach o powierzchni 150 m² dwie osoby mogą pokryć w ciągu 2-3 dni.

Każdy kto myśli przyszłościowo, powinien zainwestować raz, a dobrze i korzystać z tej inwestycji przez długie lata. W myśl zasady: „jesteśmy za biedni, żeby ubierać się tanio. Dachy z materiałów tradycyjnych wymagają nieustannych, kosztownych remontów, a często nie są ani estetyczne, ani praktyczne.

Nasza dachówka w takim rachunku strat i zysków jawi się jako **TANIA!** A dach z naszej dachówki jest znakomitą wizytówką domu i daje poczucie spokoju na kilkadziesiąt lat.

PRAWDZIWIY DOM - PRAWDZIWIY DACH

dekarzy do wykończenia dachów. Są to gotowe płyty dachowe (łapią 4 krokwie), na które kładzie się dachówkę. Dzięki nim dach jest gotowy w 2-3 dni.

Uzupełnieniem dachów są okna dachowe o podwójnej szybie z gazem szlachetnym wewnątrz.

TEGOLA CANADESE poleca rewelacyjny materiał do izolacji przeciwwilgociowej typu „Platon” światowy patent naszej firmy. Jest to folia z polietylenu o dużej gęstości, odporna na czynniki chemiczne obecne w glebie, także na kwasy i alkalia. Platon to znakomity materiał do izolacji przeciwwilgociowej fundamentów, ścian zagłębionych w gruncie i stropów. Specjalnie wyprofilowane wypukłości wzmacniają jego strukturę, jak również ułatwiają wentylację, czyniąc go wyjątkowo odpornym na uszkodzenia mechaniczne. Jest łatwy w układaniu, można go stosować na ścianach wilgotnych i w trudnych warunkach budowy. Układa się go na sucho bez żadnych lepków. Znajduje zastosowanie w zapobieganiu przed działaniem wilgoci i hałasu. Można go wykorzystać m.in. do izolacji fundamentów i ścian, podłóg na gruncie, tarasów i płaskich dachów, a nawet ogrodów «wiszących». Jest to **IZOLACJA RAZ NA ZAWSZE!!!** Dysponujemy rolkami o dowolnej szerokości.

Okładziny zewnętrzne ze specjalnymi kanałami powietrznymi są rzeczywiście ozdobą budynków, imitującą boazerie, stosowaną zamiast tynkowania lub malowania. Ocieplają ściany zewnętrzne lepiej

niż nietrwały styropian czy nieestetyczna blacha falista; mogą być również zakładane we wnętrzach: kuchnia, łazienka, na suficie, ładach sklepowych, w blokach. Można je zmywać wodą ze zwykłego weża.

Polecamy dodatkowo: wykładziny dywanowe, armatury łazienkowe i kuchenne, a także luksusowe kafelki i glazury w każdej ilości. Zamówienia realizowane są najpóźniej w ciągu 2 tygodni.

W szczycie sezonowym pokrywania dachów nie ma u nas przestojów. Zapasy magazynowe gwarantują ciągłość prac i wywiązywanie się z terminów.

Nasza dewiza, to **ESTETYKA, ELEGANCJA, WYGODA**. Nawet materiały pokryciowe przewożone są w szczelnych opakowaniach, na paletach, gdzie kolory opakowań odpowiadają kolorowi dachówek. Mogą być bezpiecznie złożone na placach budowy pod gołym niebem.

I jeszcze jedna nasza oferta: kiosk handlowy: estetyczny, funkcjonalny, o konkurencyjnych zaletach, powinien ujednolicić wygląd handlu ulicznego.

WSZYSTKIE WYMIENIONE MATERIAŁY PRODUKOWANE SĄ WE WŁOSZECH Można je stosować w różnych wariantach i łączyć z materiałami produkcji polskiej, np. wełna mineralna, blacha falista itd.

PRZYJDŹ, SPRAWDŹ, SPRÓBUJ BĘDZIESZ DZIĘKOWAŁ LOSOWI ŻE CIĘ ZETKNAŁ Z FIRMA

TEGOLA
CANADESE



● Im bliżej końca kadencji obecnego Sejmu RP, tym ciekawsze stają się polemiki posłów. Stefan Niesiołowski ocenił, iż Anna Dynowska używa swojego mózgu w całości, podczas gdy według neurofizjologii człowiek posługuje się tylko częścią mózgu, gdyż reszta pozostaje w uśpieniu. W odpowiedzi Anna Dynowska wyraziła nadzieję, że Bóg wybaczy Niesiołowskiemu jego obyczaje polityczne, bo ona je mu już wybaczyła. Co do rozumu posła Niesiołowskiego przypomniła, że przed wojną satyrycy pisali o posłach „zielonych” i do takich posłów zalicza się według niej Stefan Niesiołowski. A to są tacy posłowie, którzy mają „zielone głowy, a tam w środku głab”.

● Z naszych telewizyjnych obserwacji wynika, że poseł Stefan Niesiołowski jakby przytył. Widać coraz rzadziej używa rower.

● Telewizyjne wystąpienie wiceministra zdrowia Kazimierza Kapery wywołało wzbudzenie. Wielu ludzi uważa, że urzędnik państwowy nie powinien publicznie wyrażać swoich prywatnych poglądów, które stoją w sprzeczności z polityką bądź obowiązkami reprezentowanego przez niego urzędu. W obronie Kazimierza Kapery wystąpił natomiast posłowie Jan Łopuszański i Marek Jurek (obaj z ZChN). Uważają oni, że Kazimierz Kapera miał rację nazywając homoseksualizm zbrodnią i występując przeciw środkom antykoncepcyjnym, które przecież też chronią przed zakażeniem się AIDS. Przeciw odwołaniu ze stanowiska Kazimierza Kapery wystąpił poseł Piotr Andrzejewski. Jest to już po odwołaniu wiceministra Eksnera drugi taki wypadek. Jeden potknął się na ateizmie, drugi na homoseksualizmie. Wypadki te potwierdzają słuszność zasady, że najbezpieczniej wypowiadać się można na imięninach u cici.

● Albo pracownicy biur Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej nie mają szczęścia do pracodawcy, albo odwrotnie. Faktem jest natomiast, że przewodniczący Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej Andrzej Słowik po raz drugi staje w sądzie pozwany przez pracowników za naruszenie przepisów prawa pracy. A mogłoby się wydawać, że związek zawodowy jest po to, aby bronić pracujących.

● Janusz Baranowski prezes ZU „Westa” został laureatem nagrody im. Zygmunta Szeligi, przyznawanej przez „Politykę”. Janusz Baranowski przyzwyczaił już wszystkich do licznych zaskakujących pomysłów. Gratulujemy nagrody! Czekamy na kolejne zaskoczenie. Chodzą słuchy, że „Westa” rozgląda się za gazetą w Łodzi. W Sieradzu kupiła już tygodnik „Nad Wartą”. W Łodzi podobno przymierza się do „Wiadomości dnia”.

● Piotr Szczepanik piosenkarz popularny w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, którego „Kormorany” i „Złote kalendary” pamiętają starsi miłośnicy piosenek najpierw w ogóle przestał śpiewać, a następnie w 1980 roku zaśpiewał strajkującym robotnikom i przy tej okazji poznał Lecha Wałęsę – dziś prezydenta RP. Teraz został powołany na szefa Zespołu Współpracy ze Środowiskami Twórczymi w Kancelarii Prezydenckiej. Oto rezultat właściwego postępowania, gdy wie się o tym, kiedy przestać śpiewać, a kiedy i gdzie zaśpiewać, aby w następstwie tego zrobić karierę polityczną. Podejrzewamy, że wielu piosenkarzy wyrzuca sobie, że tego nie umieją. Żal nam Danuty Rinn i Jana Pietrzaka. Pozostaje tylko założyć partię przyjaciół jakiegoś napoju, bo piwo już zajete przez Janusza Rewińskiego.

● W składzie delegacji, która nadała prezydentowi RP Lechowi Wałęsie tytuł i odznakę honorową nr 1 Strażnika Społecznej Straży Rybackiej znalazł się również łodzianin: wojewoda Waldemar Bohdanowicz i Jerzy Nowacki. Honorowy Strażnik, który lubi wędkować, otrzymał w upominku kołowrotek produkcji łódzkiego „Prexeru”. Kołowrotek niestety zaciął się.

● W łódzkim środowisku dziennikarskim opowiada się, że Zdzisław Pietrasik kierownik działu kulturalnego „Polityki” otrzymał intratną propozycję objęcia stanowiska redaktora naczelnego w „Dzienniku Łódzkim”. Opowiada się też, że zrezygnowano z tej kandydatury na skutek interwencji łódzkich dostojników Kościoła katolickiego oraz zastrzeżeń Zarządu Miasta. Zapytany przez nas kandydat powiedział, że nie jest prawdą, iż z niego zrezygnowano, jest natomiast prawdą, że to on zrezygnował. Dowiedział się bowiem, że w łodzi zaczęto sprawdzać jego przeszłość i poglądy. Zdzisław Pietrasik uważa, że nie ma nic do ukrycia, gdyż nigdy do żadnej partii nie należał, swoje poglądy wyrażał i wyraża w publikowanych artykułach. Widać z tego, że Zdzisław Pietrasik nie żyje i nie pracuje w Łodzi.

● Kazimierz Kolinka w 1981 roku próbował zakładać „Solidarność” w milicji i szybko przestał pracować w MO wydając tygodnik ogłoszeniowy „KAMA”. W tygodniku tym felietony pisuje Andrzej Karol niegdyś felietonista „Odgłosów”, a erotyki rysuje Andrzej Grun niegdyś grafik „Odgłosów”. Sam Kazimierz Kolinka w 2 numerze „KAMY” pomieszczył apel do prądek, rolników, robotników i inteligencji, aby nie kupowały tygodnika „NIE” redagowanego przez Jerzego Urbana, którego Kazimierz Kolinka nazywa Wielkim Łgarzem PRL. Ciekawi nas, czy apel dotarł już do prądek, rolników, robotników i inteligencji.

I co oni na to?

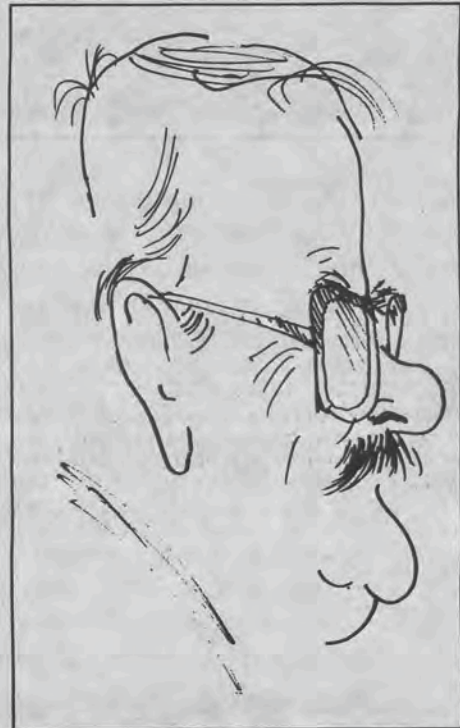
B.M.

Trudno mi odgadnąć, jak to się dzieje, że mniejszość forsuje swoje racje kosztem większości. Demokracja przeistacza się w totalitaryzm, a stolicą Polski staje Ciemnogród.

Wokół ustawy antyaborcyjnej wciąż się gotuje. Wg danych CBOP, 3/4 ankietowanych opowiada się przeciwko niej i domaga przeprowadzenia referendum. Wobec takiego stanu rzeczy, dalsze forsowanie ustawy jest tylko zaspokajaniem urażonej ambicji jej twórców. O referendum cisza. Świadomość porażki nie pozwoliła pomysłodawcom ustawy na zbyt demokratyczne posunięcie. Nie będę się rozpisywać na temat „podwójnej moralności” przedsięwzięcia. Jest to oczywiste i nie wymaga więcej komentarzy. Warto jednak ustosunkować się do działań reformatorów.

Działania represyjne wobec społeczeństwa, dotkniętego od lat złymi warunkami życia, niedostatecznym poziomem wychowania seksualnego, są wręcz niezrozumiałe. Pikanterii temu dodaje fakt, iż władze RP, nie ponosząc same odpowiedzialności za schedę komunistów, usiłują rozliczyć z niej własne społeczeństwo.

Aby uciszyć wszystkich niezadowolonych, tworzy się kolejną fikcję. Na łamach „Dziennika Łódzkiego” zamieszczono informację o zobowiązaniu organów administracji państwowej do



Rys. Iblis Gratkowski

Z niskich pobudek... krótka rozmowa z autorem „Alfabetu Badziaka”

– „Gazeta Łódzka” postawiła zarzut, że „Alfabet Badziaka” jest plagiatem „Alfabetu Urbana. Co ty na to?

– Jest takim samym plagiatem z Urbana, jak Urban z Kisiele, Kisiel ze Slonimskiego, a Slonimski z Falskiego. Falski też nie był oryginalny: on zerzał z Greków, a Grecy z jaskiń. To jest rodowód mojego „Alfabetu”.

– Jakiego spodziewasz się odbioru u czytelników?

– Ufam, że wielu to przeczyta, a niewielu zrozumie.

– Czy jesteś przygotowany na jakieś konsekwencje karne (proces) lub prywatne (pojedynek)?

– Wszystko jest możliwe na tym łódzkim podwórku. Zaskarżyć mogą mnie ci, których pominąłem, a którzy we własnym mniemaniu powinni się w nim znaleźć. W następnym wydaniu uwzględnię te pretensje. „Alfabet” jest otwarty dla wszystkich, a numer konta w posiadaniu redakcji.

– Czy ktoś się sam zgłosił, gdy już poszła fama, że piszesz tę książkę?

– Zgłosiła się Halina Batorowicz i Bogusław Sikorski. Uwzględniłem ich. Każdego bym uwzględnił, kto by się zgłosił.

– Jak długo powstawał „Alfabet”?

– Materiały zbierałem przeszło 30 lat, a pisałem 2 miesiące. Po raz pierwszy pożyteczna praca sprawiła mi prawdziwą przyjemność.

– Jakimi kierowałeś się pobudkami pisząc swój „Alfabet”?

– Niskimi.

Wypytywał
Koprowski

Listy od czytelników

pełnienia opieki nad kobietą w ciąży i dzieckiem poczętym oraz udzielania pomocy organizacjom kościelnym i świeckim, tworzącym taką opiekę. Prócz tego zostaną powołane do życia służby informacyjne, rozwiązujące problemy prawne, psychologiczne i społeczne rodzin oraz matek.

Czytając to, uśmiecham się szeroko, od ucha do ucha. W obecnej sytuacji ekonomicznej kraju, liczba potrzebujących będzie stale rosła. Trudno więc liczyć na wsparcie dla każdego. Z braku sił i środków, dokona się selekcji klientów, tłumacząc pozostałym, że istnieją jeszcze gorsze warunki egzystencji, co będzie zgodne z prawdą. Góra złota dla tej instytucji, która nauczy kobiety miłości do nie chcianego dziecka i wytłumaczy, że 4 osoby w jednej izbie to nie przeludnienie, lecz aglomeracja uczuć rodzinnych.

Spychając przeciętnego obywatela na pogranicze nędzy, zapomina się o konfliktach, powstających na tle niedostatku. Ustawa „za człowiekiem” działa przeciw człowiekowi. Pomoc ze strony Kościoła dostępna jest dla jego wiernych. Nie-

jeden pewnie cudem się „nawróci”, byle skapnęło mu coś z kościelnego stołu. Dawniej nazywano to hipokryzją.

Jedynie inicjatywa wpajania dzieciom i młodzieży zasad odpowiedzialnego rodzicielstwa jest godna szacunku. Oby realizowano ją w oparciu o najlepsze umiejętności osób zaangażowanych w wychowanie młodego pokolenia. Oświata na tematy „tabu” przyniesie więcej korzyści, niż „podarunek” w formie suchych paragrafów. Najbardziej gorliwie wsadzanie „za kratki” nie zmieni tu istoty rzeczy: głębszego rozumienia pojęcia „człowiek”.

Patologicznej części społeczeństwa oferuje się złagodzenie wymiaru sprawiedliwości. Tak oto pospolity przestępca zostanie potraktowany na równi lub nawet lepiej z lekarzem.

Aż chce się krzyknąć: „Nie tedy droga, panowie, nie tedy!”

(imię i nazwisko
do wiadomości redakcji)

Alfabet Badziaka

Iwona
Śledzińska Katarasińska
radna

Iwonę poznałem przed wielu, wielu laty, jako dziewczę hoże, smukłe, bardzo młode, ale już wtedy przytomne i z bystrymi oczkami. Pojawiła się pewnego dnia w redakcji „Dziennika Łódzkiego” wspólnie ze swym mężem, Jurkiem Katarasińskim, skromna, początkowo lekko prowincjonalna, ale już z charakterem. Jednak nigdy bym wtedy nie przypuszczał, że wyrośnie z niej taka dzielna wojowniczką o prawa człowieka, a zwłaszcza o prawa mniejszości w Polsce, które to prawa, nawiasem, nie widzę żeby kiedykolwiek były tak zanadto zagrożone, jako że mniejszości występują u nas w ilościach śladowych i w dodatku kulturowo dość zasymilowane.

Ja myślę, że nawet się domyślam z jakiego powodu dzielna Iwona z takim zapałem tepi wokół siebie wszelki szowinizm, nacjonalizm, ksenofobie, rasizm i antysemityzm, nie wspominając już o antybiałorusinizmie. Chciała zawsze być z natury wspanialsza niż w rzeczywistości. O poranku młodości jej ideałem była niewątpliwie Zojka Kosmodemiańska, a z wiekiem nabrała ona rysów matki Teresy z Kalkuty.

Zresztą żarliwe zwalczanie wszelkich narodowych przywar, uprzedzeń i idiosynkrazji jest zajęciem wielce szlachetnym, choć dość jałowym, a nierzadko bezprzedmiotowym, gdyż jeden napis na ścianie: „Michnik do logopedy!”, nie oznacza jeszcze, że po Polsce przewalają się dzikie tabuny żydożerców.

Ale Iwona to kobieta nad wyraz ambitna i chętniej zawsze wolała walczyć przeciwko komuś niż o coś. To już taka cecha wszystkich ideałowych zetempowców, z której przeważnie się już nie wyrasta. Mnie można wierzyć, w końcu należeliśmy do jednego koła. Niestety, Iwona wszystko traktowała zbyt serio, wprost przeciwnie niż ja. Przed grudniem zażartowałem sobie, że legitymacje partyjne powinniśmy oddawać w depozyt do Komitetu. Iwona oddała. Z nią nie ma żartów.

Iwona Ś.-K. przeszła potem z „Dziennika Łódzkiego” do „Głosu Robotniczego”, dziś „Porannego”, gdzie osiągnęła szczyty kariery zawodowej, jako publicystka ekonomiczna. Była momentami lepsza od Danuty Zagrodzkiej. Naprawdę znała się na tym, o czym pisała i właściwie od czasu, kiedy 13 grudnia 1981 roku została internowana, nie pojawił się do tej pory w łódzkiej prasie żaden publicysta, który by tak gruntownie, kompleksowo i wszechstronnie znał problematykę przemysłu lekkiego i potrafił to umiejętnie sprzedać w druku.

Stan wojenny oprócz klęski zawodowej przyczynił się również do tragedii rodzinnej, gdyż spowodował, w sposób co prawda pośredni, śmierć jej męża, Jurka Katarasińskiego, znanego dziennikarza i bardzo porządnego człowieka. Musiał być chyba dobrym dziennikarzem, bo kiedyś umówiłem się z nim, że napiszemy wspólnie reportaż z pociągu pośpiesznego Łódź-Warszawa. Okazał się też dobrym kolegą, pojechałem sam i wzięłem połowę honorarium. Ba, ale ja już wtedy miałem nazwisko. Zresztą nieważne, już parę razy byłem w życiu sławny tym ulotnym dziennikarskim rozgłosem, który trwa zazwy-

czaj parę dni, Iwona natomiast dopiero stała się sławną, jak zaczęła wojować z Niesiołowskim. W pięknym stylu się nawzajem podniszczyli, czego nie chcą oboje przyjąć do wiadomości.

Iwona jest ostatnio redaktorką naczelną „Gazety Łódzkiej”. Wyjaśniam niezorientowanemu, iż jest to fatalnie redagowany dodatek lokalny z dużym nerwem robionej „Gazety Wyborczej”. Na szczęście dla konkurencji, Iwona zajęta zbawianiem świata i potyczkami partyjnymi, jako lider opozycji w Radzie Miejskiej nie ma czasu zająć się prawdziwym dziennikarstwem, gdyż w przeciwnym razie żurnaliści wszystkich lokalnych gazet codziennych, poszliby z torbami. Czyli, że Iwona w dodatku jest jeszcze koleżanką.

Jej to właśnie kiedyś sprzedałem psa, który ciągle od niej uciekał.

STEFAN NIESIOŁOWSKI
poseł

Znam całkiem dwóch odmiennych Stefanów Niesiołowskich. Oczywiście jest jeszcze ten trzeci, Maciej, wesoly dyrygent telewizyjny, za którym przepadają wszystkie starsze i młodsze panie. Ale tego nie znam osobiście.

Pierwszy Stefan Niesiołowski wywojował w Parlamencie, wspólnie z Łopuszańskim koronę dla Orła Białego i o dziwo zgorszył tym niektórych ludzi. Osobiście nie uważam, żeby dążenie do narodowej tożsamości czego wyrazem jest ta symbolika było czymś zdrożnym, zbędnym czy śmiesznym. Wspólnota narodowa jest wartością cenna, a ludzie z niej wykorzenieni skazują się na osamotnienie i wyobcowanie.

Muszę przyznać, że było dla mnie początkowo dużą zagadką, dlaczego Stefan Niesiołowski tak szybko zdepopularyzował się w niektórych kręgach społecznych, szczególnie w środowiskach opiniotwórczych. Wyjaśnienie jest stosunkowo proste. Otóż, jest on jednym z tych nielicznych naszych rodaków, który potrafił przeżyć w komunie wiele lat i nie uwikłać się w żadną formę współpracy czy kompromisu z przedstawicielami tego systemu. Dowiódł, że można było wyjść z twarzą z tego bagna.

Ale teraz przyszło mu funkcjonować publicznie pośród ludzi, którzy tak nie potrafili i którzy w swej podstawowej masie mają nieczyste sumienia. I szczególnie wśród nich, zawstydzonych własną, dość mętłą przeszłością, cieszy się on największą niechęcią i fatalną reputacją.

Drugi Stefan Niesiołowski, to człowiek niesłychanie spokojny, delikatny, subtelny, prostolinijny, pogodny i wesoly, jednym słowem prostoduszny przyrodnik wałęsający się po mazurskich łęgach z siatką na owady. Jego naukowa specjalność to małe muszki, odkrył ich kilkanaście gatunków, podobne do modliszek, właściwie zmminiaturyzowane modliszki Empideidea. Zidentyfikował, że samce mają na tylnych nóżkach specjalne koszyczki, które służą do zbierania darów dla samic. Meską pleć, jak widzimy w każdym wymiarze i gatunku, charakteryzuje wielka ofiarność i poświęcenie wobec dam. Stefan Niesiołowski, tak na łące jak i w Sejmie wykazuje niezmienną kurtuazję, może nawet jeszcze większą na łące, w stosunku do pici pięknej.

Jedno danie Anny-Marii

Przepis na awaryjną bułkę chlebową

Na te pierwszomajowe święta, które na szczęście należą już do przeszłości, szykowałam się z optymistyczną nadzieją od połowy kwietnia: miano nas, mieszkańców bloków przy Starym Rynku przed świętami zagazować. Tak przynajmniej głosiły rozlepione po klatkach schodowych obwieszczenia gazowni. Że w dniu takim a takim „obecność lokatorów w mieszkaniach obowiązkowa z powodu ich zagazowania”. Używając języka mniej makabrycznego, wolnego od skojarzeń z oświecimskimi krematoriami, oznaczało to po prostu, że podłączą nas z powrotem do sieci gazowej i znów będziemy się mogli po trzytygodniowej remonciej przerwie pluśkać w pieścocię pian, dla siebie odkręcać przy wannach kran i nawet natryskiem zraszać wdzięki swe wszystkie, jak kiedyś w Kabarecie Starszych Panów śpiewał Wiesław Michnikowski.

Owa wizja pieścoci higienicznych oraz kulinarnych pod postacią mile bułgocących na wszystkich czterech palnikach kucharki garmków była dla mnie wizją radosną. A gdy ja jeszcze ubarwiłam w perspektywę tyłu wolnych od jednej pracy dni, które można wykorzystać na drugą pracę! Boże mój!, toż pełnia mego kobiecego szczęścia: nareszcie mieć czasowe możliwości na doczyszczanie podłóg za tapczanami, pod szafami, na poprasowanie stosu bielizny maskowanej narzutą w głębokim fotelu; na te sweterki, bluzki, co to ich do pralki nie, bo je tylko i wyłącznie w „ręczach” można i w delikatnych środkach piorzących, a to wszystko, co powyżej, bez wywoływania zgorznięcia poniekądych sąsiadek, bo przecież ani 1-wszy, ani 3-ci Maja to nie

niedziele lub inne święta kościelne, oznaczone po kalendarzach wciąż trefnym kolorem czerwonym. Mogę więc bez opamiętania warczeć odkurzaczem, furczeć pralką, stukać w maszynę do pisania i nawet śmieci wynosić z jawnie podniesionym czołem, a nie przemycać się jak kiedyś indziej chyłkiem, boczkami pod ścianami bloku.

Zawsze to nieprzyjemnie człowiekowi, gdy go dorywa sąsiadka na schodach, ściaga usta i powiada: Pani Anno-Mario, ja tam oczywiście nie mam zamiaru wtrącać się do pani osobistego życia, gdyż teraz, chwala Bogu, między innymi mamy pluralizm, ale należy również szanować poglądy innych. A tymczasem pani dokładnie w czasie, w którym przez radio nadają msze, hałasuje odkurzaczem albo, co gorsza, stuka na maszynie do pisania.

Nie przypuszczałam, że grube mury bloku są aż tak akustyczne, że słychać moją maszynę do pisania. A jeśli słychać nawet maszynę do pisania, to z pewnością i inne rzeczy, o których dotąd sądziłem, iż dzieją się intymnie w moich własnych czterech ścianach. Na przykład człowiek od czasu do czasu doświadcza przykrych dolegliwości żołądkowych, siedzi sobie w kiblu, no i... albo nie podejrzewając, że ściany mają uszy, chlapię ozorem nie tylko jasną cholera. Uff, głupio. A w dodatku owo złowrogie „co gorsza”? Dlaczego klekot maszyny do pisania jest aż „co gorsza”?

Uśmiech sąsiadki nie zawierał w sobie ani krztyny wyrozumiałości. Wręcz przeciwnie. Ponieważ Anno-Mario, praca zarobkowa w niedziele jest ciężkim grzechem, z którego należy się spowiadać! – oznajmiła i poszła sobie.

Stąd wydedukowałam, że praca dla siebie

(sprzątanie, pranie itp.) jest również grzechem, lecz mniejszym i do darowania. Odtąd, niezależnie od stopnia grzechu, bardzo się w niedziele pilnuję, dywany obmiatam szczoteczką, a pod maszynę do pisania podkładam dwa koce. Z pełną świadomością, że Pana Boga nie oszukam, ale sąsiadkę i owszem. Człowiek nie żyje na pustyni i musi dbać o stosunki międzyludzkie, a już dawno przede mną wymyślono sztukę zachowywania pozorów.

Ta sztuka zresztą zesłała na psy lub jak kto woli: zdemokratyzowała się. Kiedyś była wyłącznością sfer wyższych. Zwykły cham walił drugiego w morde, natomiast hrabia drugiego hrabiemu nigdy! Twarz mu muskał zaledwie białą i koniecznie uperfumowaną rekawiczką. Hrabina jedna drugiej też nigdy w oczy nie powiedziała, nawet po francusku, że ją ma za głupią żółę. Po przyjęciu imiennym w księżnej Heleny Radziwiłłowej (1810), zwanym „śniadaniem wiejskim”, którego prostota polegała na tym, że księżna pośrodku swego warszawskiego salonu zasadziła świerkowy gaj, a ściany kazała obudować „ryżowymi chatkami”, księżna Wirtemberska w liście do matki, Izabelli Czartoryskiej donosiła, że: „ile razy ktoś siegał po rzodkiewkę albo po śledzia, musiał tracić nosem o jakiś krzak róży lub zacczępić niechcący gałązkę boule de neżu, a wtedy księżna Radziwiłłowa wydawała krzyki nieludzkie bojąc się, że przewrócenie doniczki nadwerży harmonie i piękno układu” (E. Kawecka, W salonie i w kuchni).

Piękno moich harmonijnych planów na spędzenie świąt pierwszomajowych też zostało zakłócone i bynajmniej nie z powodów zacczępienia się o „gałązkę boule de neżu”, lecz z przyczyn tak prozaicznych jak wybuch gazu w piwnicach mego bloku, o czym doniosła prasa, radio i TV. Gazownicy, co to mieli nas zagazować, trafili do szpitala, u sąsiadów wypadły szyby, pani babcia z pierwszego piętra dostała ataku serca, lecz wszyscy lokatorzy zgodnie orzekli: iż to palec opatrności nad nami jawny, że blok wybudowano w czasach dekorowania placu Starego Rynku J. Marchlewskim, bo gdyby to był blok z epoki Zamku Królewskiego, to nie piwnice by się zagrzuwały, ale blok zgrzuwał do piwnic.

Pozbawiona w ten sposób wizji pieścoci i natrysków, z perspektywą dalszego gotowania na

maszynce elektrycznej, mycia się w misce, pogałam w wigilie pierwszomajową do pracy. Zostawały mi na pocieszenie obszary mieszkaniowe do sprzątania, prasowania i doczyszczania, miałam więc jeszcze o czym marzyć.

Potem z pracy gnam, zamierzając w drodze powrotnej dokonać podstawowych zakupów, w tym chleba naszego powszedniego. Gnam nie tylko ja, my gnamy kobiety pracujące miast i wsi, od sklepu do sklepu gnamy, z ulicy na ulicę, ale chleba nigdzie „nietu”. Ni w Łodzi, ni w Krakowie, ni w Warszawie, ni w Ozorkowie. „Nietu” i już. O czym się dopiero dowiedziałam w trakcie Wiadomości TV, mocząc opuchnięte od gnania nogi w wodzie z solą. Wtedy też zadzwonił telefon.

– Anno-Mario, to ja! zaszczębiała głos mojej warszawskiej przyjaciółki Hania ze swoim amerykańskim mężem i dwójką dzieci, wyobraź sobie, przyjechała! Bedziemy u ciebie jutro rano! O pościel się nie martw, przywieziemy śpiwory. Cieszysz się, co?

O, Boże, ciesz się! Jak jasna cholera i jeszcze gorzej! Zaciskając zęby od tej wścieklej radości, wsunęłam się w kaptcie i obeszłam sąsiadów, pożyczając 3 kg maki. Następnie wyruszyłam odgruzować swoją piwnicę, gdzie udało mi się wy dostać nie uszkodzoną wanienkę, w której ongić kapałam swoje pociechy. W onej to zacczępiłam ciasto na bułkę chlebową według proporcji: „2 dkg drożdży, 1 dkg cukru, sól do smaku, ok. 1/2 l. mleka, 1 kg maki”. Do piątej rano upiekłam kolejno w proźu 5 bułek chlebowych.

Przyjechali wprost na śniadanie. Hania wraz ze swoim Johnem zachwycali się kapitalistycznymi zmianami w naszym kraju, bijącymi po oczach z każdej jednej witryny sklepowej.

– Wszystko już macie, moi kochani podsumowała nasz polski dobrobyt Hania i ustami pełnymi mojej chlebowej bułki wymamrotała: A ty się nie a nic nie zmieniłaś, Anno-Mario...

Myślałam, że chodzi jej o mój wygląd. Niby że wyglądam wciąż tak samo jak przed dziesięcioma laty. Ale Hania przełknęła, dokończyła z wyrazistym podziwem:

– ... i ciągle ci się chce bawić w te różne wypieki? Nawet chlebek pieczesz jak w osiemdziesiątym pierwszym?

Zenon Skalniak. Z tygodnia na tydzień (1)

Trzy pokoje z kuchnią w starym budownictwie

Oczywiście, uważam, że masz rację, jeśli chodzi o mamę. Zachowała się w stosunku do ciebie wyjątkowo po chamsku. Nawet rozmawiałam z nią na ten temat, ale sam wiesz, jaka ona jest... wekslowała Anita. Poczuła wzrok męża na swoich piersiach. Wstydliwym ruchem zaciągnęła pośłafroka. Uśmiechnęła się tym razem zalotnie.

Marek tymczasem przyglądał się swojej żonie, powtarzając w myślach tylko jeden wyraz: idiotka. I te obwisłe, duże piersi z ciemnobrazowymi brodawkami; idiotka. Jej się wydaje, że ona ciągle jest atrakcyjną jak kiedyś kobieta; idiotka. Na ustach ma obrzydliwie wyblakłe resztki jaskrawej szminki; idiotka. Szlafrok niechlujny, poplamiony, przepocony; idiotka.

Buba chyba właśnie uznała, że z tym, co ma w majtkach, bardzo jej nieprzyjemnie zadarta bródka, zmrzula oczy i ryknęła płaczem. Na córkę też spojrzła z odrazą. Przypominała tłusty, różowy, napeczniały serdel. Miała już skończone dwa lata, a ciągle walała w majty; mówiła też niewiele, zaledwie kilka wyrazów. A ten stary sklerotyk z zaściany, pradziadziś, przeważał ją tym kretyńskim, nie wiadomo od czego spieszczaniem: Buba, i wszyscy w tym cholernym domu tak ją nazywają, łącznie z Anitą. Buba! Buba! niby że to takie rozkoszne imię dla rozkosznego dzieciaczka. Gdyby tego miesiąca, w którym poczęła się Buba, nie spędzał akurat razem z żoną w Uście na wczasach, miałby poważne wątpliwości, czy to aby na pewno jego dziecko. Niestety, nie da się zaprzeczyć, że jego.

Drzwi do łazienki otworzyły się, gwałtownie szarpnięte. Joaśka miała podpuchnięte od długiego płaczu oczy, lecz udawała nonszalancką obojętność, a mocno rozchylony szlafrok ukazywał jej długie, smukłe nogi, przeżute uda i pas nagiego ciała nad prowokującym trójkątem białych fig. W gardle mu zaszczo natychmiast. Wyobraził sobie te nogi, te uda pod sobą.

– Ze wy musicie swoje małżeńskie pogwarki załatwiać akurat pod kibelem rzuciła Joaśka.

– Może od razu zrobisz striptiz! krzyknęła Anita Proszę, nie krepuj się!

Joaśka odeła wargi. Wzruszyła ramionami.

– Gdybym tylko miała dla kogo... zakolysała biodrami, ruszyła korytarzem, zniknęła w pokoju, który dzieliła razem z rodzicami. Marek nerwowym ruchem poprawił okulary, wycofał się przezomnie za drzwi. Anita od dawna urzędowała mu sceny zazdrości o siostrę. Przecież widzę, jak na nią patrzysz, mówiła i zaczynała płakać. Wszystko znosił, wszystko był gotów wytrzymać w tym cholernym domu poza jednym: płaczem żony. Nie dlatego, aby się nim przejmował. Szlochania Anity wywoływały u niego gęsią skórkę na plecach: zupełnie tak, jakby słuchał zgrzytania nożem po szkłe.

Anita w łazience znecała się nad Bubą, brutalnie

szarpała piżamką, tarła gwałtownie gąbką ubrudzoną pupę. Dziecko wystraszyło się ataku wściekłości matki, zacichło, od czasu do czasu żałośnie zachlipało.

– Dlaczego ciągle walisz w majty, ty wredny, debilny bachorze! krzyczała Anita. Dołeczki w tłustych poślachkach malej, które kiedy indziej wzbudzały w Anicie napady macierzyńskiej czułości, teraz prowokowały do uderzenia. Jeszcze raz narobisz, zbiję cie! Rozumiesz? Słuke! A teraz zjeżdżaj stąd! Leć! Do swego taty!

Bubie nie trzeba było tego dwa razy powtarzać; zatupała bosymi piętami.

– O, Boże powiedziała Anita, przysiadła na brzegu wanny. Poszukała w kieszeni szlafroka relanium, lyknęła małą pigułkę, bez popijania; miała wprawę w takim tykanium; wydawało się jej, że bez środków uspokajających nie potrafi przeżyć ani jednego dnia. W szkole codzienna szarpanina z tymi tłumokami na lekcjach, w domu też piekło; i jak to wytrzymać? Ach, prawda, przypominała sobie o tej herbatce dla Damiana; namoczyła piżamę Buby i poszła do kuchni.

Pachniało rosołem. Matka siedziała przy kuchennym stole, strugała marchewki. Znaczy, że jutro będzie rosół z makaronem i sztuka mięsa z jarzynką. Chyba na złość Markowi, bo on nie cierpi ani rosolu, ani sztuki mięsa, ani jarzynki z marchewki. Anita trzasnęła czajnikiem. Oczywiście, ani kropli gotowanej wody. Oczywiście, wypili, nie nalali, nie zagotowali. Nikt nie pomyśli, że tu są też i małe dzieci, które chcą pić o różnych, najmniej spodziewanych porach.

Matka siedziała, nieporuszona. Nie uniosła nawet głowy.

– Mnie też ignorujesz, jak mego męża? wybuchnęła Anita Zawadzamy ci, co? Gdybyśmy się wyprowadzili, miałabyś po nas wolny pokój dla swojej ukochanej Joaśki! Ona i Andrzej zawsze byli dla ciebie i ojca najważniejsi! Tylko ja taka czarna owca, zakalała rodzinę, popychała, zero! A tej swojej Joaśce mogłabyś zwrócić uwagę, żeby nie laziła pół nago po domu. Ona prowokuje Marka! Mamo! Słyszysz? Mówię do ciebie?!

Matka opuściła głowę jeszcze niżej. I wciąż milczała.

– Dziadkom też ktoś powinien zwrócić uwagę. To jest nie do wytrzymania, te ryki ich telewizora co wieczór! Damian przez nich nie może spać! Nikt przez nich nie może spać! Jak są głusi, niech kupią sobie aparaty słuchowe!

– Powiedz im to sama. Najlepiej rano, kiedy zostawiasz na ich opiece Damiana i Bubę odezwała się Jadwiga. Wrzuciła ostruganą marchewkę do miseczki. Wstydziłaś się, Anita. A dzieci budzą się nie tyle od ich telewizora, ile od waszego. Twój szanowny małżonek też ma wosk w uszach.

Joaśka, pośpiesz się! Anita szarpnęła kławką przy drzwiach łazienki. Paletająca się przy jej nogach Buba w pełnym poczuciu winy ssała palec. I bardzo cuchnęła tym, co właśnie przed chwilą popelniła w piżamce.

Z łazienki odpowiedziała ostentacyjna cisza. Joaśka nie próbowała nawet uwiarygodnić swojej zbyt długiej obecności w tym najbardziej niewralgicznym z całego mieszkania miejscu, choćby spuszczaniem wody do kibla. Joaśka widać ma znowu problemy. Zawsze, kiedy je ma, beczelnie okupuje łazienkę.

– Joaśka, wylaż. Muszę umyć Bube.

Żadnej odpowiedzi. Za to w progu pokoju pojawił się Marek.

– Damian obudził się i chce pić zrobić mu herbaty oznajmił, poprawiając zsuwające się na czubek nosa okulary. Powinien dawno zanieść je do optyka „Ale on, oczywiście, czeka, aż ja mu zaniose” pomyślała Anita, spojrzęła na męża z niechęcią.

– A ty nie możesz? Rączki pogubiłeś?

– Moja droga odparł wyniośle o tej porze w kuchni urzęduje twoja matka.

„Boże pomyślała Anita daj wytrzymać”. Buba cuchnęła coraz silniej. Joaśka nie opuszczała łazienki. W pokoju dziadków wyl telewizor, bo oni przecież oglądają cały program jak leci już od telewizji śniadaniowej. W ich pokoju też wyje telewizor, szanowny mąż przysposabia się do oglądania ukochanego serialu z bohaterem Torrello; i jak w takich warunkach Damian ma spać? Co wieczór ta sama historia!

– A i owszem, urzęduje odpowiedziała złym głosem gotując obiad dla całej rodziny. Dla nas też. Dla mnie, dla twoich dzieci i dla ciebie. A ty jakoś wsuwasz jej obiady z całkiem niezłym apetytem, mimo swojej śmiertelnej dla niej obrazy.

– Skoro w ten sposób stawiasz sprawę, od jutra będę jadła na mieście.

– Naprawdę? A wolno zapytać: za co? Z tej swojej asystenckiej pensyjki? wypaliła Anita i od razu pomyślała w popłochu: „O, Boże, co ja? co ja?”

– Na obiady dla mnie moja pensyjka aszysztencika szpokośnie wysztarczył zalepiał złowrogo Marek. Seplenie oznaczało najwyższy stopień irytacji i było ostrzegawczym sygnałem, że magister nauk technicznych, starszy asystent Politechniki Łódzkiej pan Marek Jurczak doznał osobistej zniewagi i odtąd przez długie dni, a nawet tygodnie będzie zachowywał się niczym zdetronizowany monarcha, który nie raczy poposiłitować się ze swoimi poddanymi i w związku z powyższym uznaje ich za osoby non grata mieszkani numer osiem na trzecim piętrze przy ulicy Nawrot czternaście be. Babka Józka z dziadkiem Staśkiem mieli fochy męża wnuczki w głębokim poważaniu, ojciec też sobie nimi nie zawracał głowy, matka natomiast odplacała zięciowi natychmiast pięknym za nadobne, więc krzywo obrzy Marka zamiast malec rosła, a wszystko skupiało się ostatecznie na Anicie. Przebywać w jednym, zagraconym pokoju z dwójką dzieci, telewizorem oraz obrażonym na cały świat mężem przerażało jej odporność psychiczną. Woliała się upokorzyć niż to znosić. Rozciągnęła teraz pośpiesznie usta w uśmiechu, udającym skrucę.

– O, Boże, Marek, ile mnie zrozumiałeś!

– Nie czepiaj się Marka, dobrze?
– Ja się przecież do niego ostatnio w ogóle nie odzywam.

– Właśnie! Ty się nie odzywasz, on się nie odzywa, i ja pomiędzy wami... Pomyślałaś o mnie, mamo? Ale po co o mnie myśleć, prawda?

– A o mnie kto myśli? z wyrzutem zapytała Jadwiga. Odłożyła nóż, splotła ręce Nawet węgiel muszę sama targać z piwnicy na trzecie piętro. Wszystko ja, wszystko na moje ręce... poruszyła palcami. Były zgrubiałe, podpuchnięte. Już od dawna nie nosiła obrączki, która stała się zbyt ciasna A takie kiedyś miałam ładne ręce... dodała Jadwiga, jakby bez związku Obie macie po mnie ręce. I ty, i Joasia. I nogi macie moje. Długie, ładne... znowu poruszyła palcami Anita... mnie chyba zwolnią z pracy...

– Co?

– Pani Basia z technicznego mówiła mi dzisiaj, że słyszała, jak kierowniczką rozmawiała z Kaziem z zaopatrzenia, że szykują się zwolnienia. Od nas z działu mają zwolnić trzy osoby.

Anita wstrząsnęła tą wiadomością. Tego by jeszcze brakowało! Jeżeli matkę wyrzucą z biura, wówczas trzeba będzie dawać więcej na dom. To oczywiste, że więcej; i tak oboje z Markiem łożą właściwie symboliczne sumy do tak zwanej wspólnej puli. A Marek właśnie zaczął odkładać na wideo.

– Ciebie nie ruszą, nie powinni. Przecież ty pracujesz tam od dwudziestu ośmiu lat.

– Anita, a jakie to ma znaczenie? Żadne. Teraz zwalniam, nie patrzaj ani na wystługę lat, ani na sytuację rodzinną. Gdybym należała do „Solidarności”, może by nie ruszyli. A w naszym dziale akurat trzy osoby nie należą: ja, Marysia Kozłowska i Jurek Nowak. I akurat trzy mają zwalniać. To nie przypadek, Anita.

– A Marek ci radził, żebyś się zapisała! Ja się zapisałam i teraz śpię spokojnie.

– W szkolnictwie nie zwalniam. Też zwalniam. Ruscystów, dyrektorów nomenklaturowych. W kuratorium wymienili chyba wszystkich.

– Nigdy do niczego nie należałam, do partii też nie, a jakoś udało mi się bez żadnych przeszkód w czasach komuny przepracować bez mała trzydzieści lat i nigdy nie grożono mi zwolnieniem z tego powodu, że nie należą.

– Słuchaj, mamo, nie denerwuj się tak na zapas, przecież to może zwykła plotka odezwała się pocieszająco Anita, myśląc ze złością, że gdyby matka posłuchała jej męża, to teraz nie musiałaby się obawiać. A swoją drogą, pomyślała Anita, cokolwiek by Marek nie mówił na ten temat, to to, co wyprawiają teraz z ludźmi, to jest po prostu zwykłe świństwo.

Johnson podniósł się od stolika i ociepiałym nieco krokiem podszedł do lady.

– James, to ty? Nie wiedziałem, że dalej siedzisz w Waszyngtonie. Mintkenbough, przysadzisty, rysy twarde, twarz ogorzała jak u kowboja, dyskretnie się obejrzał. Odstawił kieliszek i wyciągnął rękę.

– Tak, prowadzę tę małą firmę, zapomniałeś, pośrednictwo mieszkaniowe. Jak ci leci? no, strzelaj.

– Nie ma o czym mówić. Jestem za gońcą i konwojenta w Pentagonie. Robota podrzędna, w sam raz dla jakichś tam smyków.

Opróżnił kieliszek jednym haustem.

– Najgorsze są te ciągle awantury z Heddy. Nie ma dnia bez kłótni. Jest już kopnieta na amen. Zawiozłem ją wczoraj do szpitala, ale w Reed Hospital nie chcą jej przyjąć. Ma czekać w domu i przychodzić tylko na kontrolne badania. Jak zajdzie potrzeba, sami ją zatrzymają. Ale to może potrwać, a ja w tym piekle dłużej nie wytrzymam.

Mintkenbough spoglądał na przyjaciela z berlińskich jeszcze czasów z niepokojem. Co się z nim dzieje? Mówi dziwnie głuchym i bezbarwnym głosem. Zalewa pałę, to widać. Zgarbiony, oczy rozbiegane, twarz ziemista i te szybkie, nerwowe ruchy. Stacza się w dół, co do tego nie może być dwóch zdań.

– Co chcesz robić?

– Różne myśli przychodzą mi do głowy. Ta cholerna baba wpląca mnie jeszcze nie w taką kabałę. Za dużo paple.

Mintkenbough szeptał na twarzy.

– Jak to rozumieć? Coś o tobie rozpowiada?

No tak, w szpitalu wyzwala mnie przy pielęgniarce od rosyjskich szpiegów. Dziewczyny śmiały się, ale co można wiedzieć. To przecież szpital wojskowy.

Mintkenbough sięgnął po papierosa. Po czym z wymuszonym uśmiechem wręczył kumpłowi kartkę.

– Na litość boską, opanuj się. Masz tu numer mego telefonu. Zadzwoń za tydzień. Porozumie się z organizacją, żeby znaleźć jakieś wyjście.

Johnson spojrział spod oka.

– Dalej pracujesz dla nich?

– No tak, poniekąd.

– Mnie nic do tego. Te nitki już dawno pozrywałem. Zapomnieli o mnie.

– Mylisz się stary, pomoga ci. Takich zasłużonych gości jak ty nie rzucą na pastwę losu, bądź spokojny, oni pamiętają.

Johnson powrócił do domu przed północą. Heddy była już pogrążona we śnie. Opróżnił resztkę whisky z butelki i zasnął jak susef. Rano rzucił żonie jakieś słówko o pogodzie, wsiadł do wozu, żeby pojechać jak zwykle do pracy. A zatrzymał się przed bankiem, pobrał z konta kilka tysięcy dolarów i puścił się przez Denver prosto do Las Vegas. Ciągnął setka, przyciskając gaz do deski. Cały czas mimo woli spoglądał we wsteczne lustro. Wreszcie roześmiał się. Ależ człowieku, jesteś czysty, tamta sprawa dawno przyschła. Któżby się tobą interesował.

Uciekał od Heddy, ale też od Mintkenbougha. Niepotrzebnie zaczął go w barze. I teraz to odżyło. Ale nie da się zrobić w zadne nowe gierki. Niech się wypchają. Dość się ponarzął. Nikt mu już w głowie nie zamieszka. W Las Vegas wynajął pokój w trzyczlorowym hoteliku. Następnego dnia zasiadł w kasynie do gry.

Upłynął cały miesiąc zanim sierżant Robert Lee Johnson został uznany za dezertera. Dopiero wtedy do drzwi niedużego domku w dzielnicy Alexandria zapukało dwóch agentów FBI. Zastali tylko Heddy, żonę Johnsona. Wyglądała okropnie. Włosy w strąkach, worki pod oczami, wargi spokane, twarz opuchnięta jak u nalogowej alkoholiczki. Zła i rozdygotana wskazała z niechęcią krzesła.

– Nie wiem, gdzie jest mąż wybelkotała. Pewnie zalewa się gdzieś w knajpie albo goni za jakąś dziewczką. Ale wróci, gdzie mu będzie lepiej.

Agenci wymienili szybkie spojrzenia. Ależ czupiradło, święty by nie wytrzymał i szybko nawiał od takiej, gdzie pieprz rośnie.

Ich zwierzchnik, inspektor Green, nie podzielił tej opinii.

– Mogło być tak, ale mogło być też inaczej. O dezercji sierżanta Johnsona dał wzmiankę „Washington Post”. To o czymś mówi. Ci reporterzy mają dobre nosa. Wychłali, że Johnson był niekiedy kurierem i konwojował wojskowe przesyłki. Za tą ucieczką może kryć się coś więcej niż tylko chęć uwolnienia się od tej zwariowanej baby. Coś zaczyna mi tu paskudnie śmierdzić.

Dalszy bieg wypadków dowiódł, że nos nie zawiódł także inspektora.

Otóż jesienią 1952 r. sierżant Johnson z jednostki amerykańskiej w Berlinie podjął brzemienne w skutki decyzje. Postanowił przejść na stronę Rosjan i zaoferować im swe usługi. Zdrady dokonuje się najczęściej z pobudek ideowych, chęci zysku, bądź pogoni za przygodą. Tym razem zagrało coś całkiem innego. Johnsonem miotła żądza zemsty. Był nią wprost zaślepiony. Już dwukrotnie pominięto go w awansach. Zalewała go żółć. O nie, panowie pułkownicy, na sucho wam to nie ujdzie. Jeszcze się odegra na całej amerykańskiej armii. Dłużej nie pozwoli sobą pomiatać. Jego zemsta będzie słodka.

Właśnie przybyła z Wiednia Heddy, jego naręczona. I zaraz ją mu wciercić dziurę w brzuchu, nalegając, by wreszcie ją poślubił.

Johnson popadł w krótką zadumę.

– Dobra, ożenie się z tobą, ale musisz mi najpierw załatwić kontakt z ruskimi.

Zrobiła wielkie oczy.

– Zwariowałaś? Co ci napadło?



Skarby Pentagonu

– Nie twoja sprawa, zrób o co ci proszę, a potem weźmiemy ślub, jeżeli aż tak ci na tym zależy.

Heddy zgłosiła się w radzieckiej komendanturze w Karlshorst. Nie sprawiło jej to żadnych trudności. Złowieszczy mur jeszcze wtedy nie istniał. Przyjął ją młody lejtnant. Wysłuchał i po namyśle powiódł z ociąganiem do skromnego pokoju na piętrze. Oczekiwała ją tam młoda para, która przedstawiła się jako małżeństwo White. W istocie rzeczy byli to oficerowie radzieckiego wywiadu.

Po zakończeniu rozmowy mr. White obrzucił Heddy jeszcze raz badawczym spojrzeniem i oświadczył.

– Niech pani narzeczony wpadnie do nas powiedzmy 22 kwietnia około południa. Pogadamy, zobaczymy.

Johnson wkroczył do ponurego gmachu w Karlshorst spięty i zdenerwowany. Grał w ciemno. I to o dużą stawkę. Przyjął go podoficer o skośnych oczach Tatara i odprowadził bez słowa do pobliskiego budynku z czerwonej cegły. Na końcu długiego korytarza powitał go w spartańsko umeblowanym pokoju poważny pan w grubych okularach. Przedstawił się jako mister Brown. Przyniósł Johnsonowi krzeselko, napełnił kieliszki ormiańskim koniakiem i wznosił toast.

– Za pokój na całym świecie.

Potem zauważył cierpko.

– To nie sztuka wieszac psy na armii. Wojsko to wojsko, nikt nie ma w mundurze słodkiego życia. Ja też miałem w armii fure kłopotów. Jak jest tak źle, to może pan przecież poprosić o zwolnienie.

Johnson potrząsnął głową.

– Mam uwiązane ręce kontraktem, no i chce wziąć odwet na tej generalskiej bandzie. Kariery robią w armii laluse i dobrych bostońskich rodów i starych wojskowych rodzin. Im przypina się coraz inne łaski do munduru. A cała reszta odmaszerować do najgorszej roboty. Chcę tej bandzie odplacić pięknym za nadobne.

Urwał i zacerpnął oddechu.

– Chętnie bym wystąpił w moskiewskim radio z propagandowymi wystąpieniami wypalił.

Mr. Brown z trudem ukrył rozbawienie. Ależ naiwniaczek, propaganda, ten prymitywny kowboj tak do tego się nadaje jak wół do karety. Ujął słuchawkę i wykręcił jakiś numer. Po kilku minutach na progu wyrósł White z małżonką. Rozpoczęła się popijawa. Johnson nie zamykał ust. Płótno, co mu tylko ślina przyniosła na język. Wygadał się przy okazji, że od kart, kobiet i kieliszka bynajmniej nie stroni.

Oficerowie KGB rychło uzmysłowili sobie, że Johnson to zdemoralizowana gaduła o zbyt wielkim o sobie mniemaniu. Odnieśli też wrażenie, że pała najprawdziwszą chęcią pomsty. Ten sfrustrowany podoficer porwie się na wszystko. Więc zaproponowali mu dalsze spotkania. Nie przypadkiem. KGB planuje z dużym wyprzedzeniem. Ktoś dziś bezużyteczny, może okazać się za lat dziesięć cennym nabytkiem. Niewykluczone, że ten zadufany w sobie sierżantek zajmie w przyszłości bardziej eksponowane stanowisko. A na razie niech tkwi w tajnej kartotece. Przyjdzie ten czas, sięgnie się po niego.

Brown wezwał Johnsona już po dwóch tygodniach.

– Proszę nam przesyłać co jakiś czas drobne informacje o jednostce zaproponował.

Johnson zeszytniał.

– Co takiego? Mam być szpiegiem, myślałem o innej robocie.

Brown skrzywił się w pobłażliwym uśmiechu.

– Po cóż od razu strzelać z armaty. Szpieg? Jaki znów szpieg. Zostanie pan, sierżancie, jednym z bojowników w walce o światowy pokój. Nie ma dziś sprawy ważniejszej.

Jesienią 1953 r. Johnson poślubił wniebowziętą Heddy. Z tej okazji udzielono mu w jednostce urlopu. Rozpowiadał, że miodowy miesiąc przepędził w bawarskich Alpach. W rzeczywistości znalazł się w Brandenburgu. Na zamkniętym kursie pokazano mu jak uzyskuje się fotokopie i mikrofilmy z wojskowych dokumentów. Po powrocie nawiązał z nim kontakt Paul, właściwie Władimir Kriwaczow, oficer KGB. Traf sprawił, że wkrótce oddelegowano Johnsona do oddziału G-2, należącego do amerykańskiej siatki wywiadowczej. Zaczął robić fotokopie sprawozdań i raportów, jakie tylko wpadły mu w ręce.

Paul przyhamował jego zapędy.

– Interesują nas jedynie meldunki opatrzone stempelkiem secret i top secret. Reszta to plewy i śmiecie bez znaczenia. Takie odchody biurokratycznej maszyny, od której nie jest wolna żadna armia.

Johnson poczuł się dotknięty. Nawet do głębi obrażony. Starał się, a jak go potraktowano. Już miał z Paulem zerwać, lecz zamiar zmienił po spotkaniu z jednym z kompanów z dawnych lat. Był nim James Mintkenbough. Znal go z ówczesni w Fort-Hood w Teksasie. Przyszło mu na myśl, że co dwie głowy to nie jedna. Po kolejnym kuflu w zadymionej biersztubie w Charlottenburgu, wyrzekł konfidencałnym tonem.

– Pracuję na dwa fronty, trochę też dla ruskich. Nie bardzo wychodzi, bo nie mam spokojnego czasu, żeby dokopać się rzeczy wartościowych. Ciągle muszę mieć oczy i uszy otwarte, żeby ktoś mnie nie przydybał. Co innego, gdybyś ty stanął na czatach. Mógłbym wtedy wydoić Iwana z grubszej forsą. Tobie też by kapnęło.

Mintkenbough słuchał bez ruchu z rozdziawionymi ustami. Na dłuższą chwilę zaniemówił. Wreszcie bąknął, że musi to rozważyć, ryzyko jest wielkie. Przez kilka dni bił się potem w myślni. Czy aby nie przesadza z obawami. W razie wpadki wszystkiego się wyprze. Ostatecznie to Johnson grzebie w dokumentach. A dolar to dolar. Nie ma w Berlinie takiej blondyneczki, która nie zsunęłaby majtek już za parę dolarów. Te Frauleins wyjątkowo są łatwe i tanie. A jakie ochocze. Johnsonowi z Mintkenboughem przy boku poszło znakomicie. Paul sygnął pochwałami. I zaraz zapytał.

– Co to za jeden ten James. Chciałbym go poznać.

– Też sierżant, ręczę za niego odparł Johnson.

Mintkenbough zrobił na Paulu jak najlepsze wrażenie. Chłopak był czujny, skupiony, w jego nieustępliwych oczach było coś z twardziela. Chyba też się przyda, pomyślał Paul. Skinął przyjaźnie ręką.

– Proszę wpaść jutro, sierżancie, porozmawiamy w cztery oczy.

Tymczasem Johnsona obleciał niezrozumiały lek. Zaczął bać się własnego cienia. Zdało mu się, że major przygląda mu się jakoś dziwnie. Przez drzwi dosłyszał, że ktoś obcy wymawia jego nazwisko. Z uczuciem niewysłowionej ulgi powitał decyzję o przeniesieniu go do Rochefort we Francji. Tam Paul o nim zapomni. Istotnie, Paul nie dawał znaku życia. Być może jednostka w Rochefort leżała poza zasięgiem zainteresowań KGB.

W czerwcu 1956 r. Johnson przeszedł do cywila.

Odszedł z armii z zadrą w sercu. Wykiwano go. Oddał armii najlepsze lata swego życia. A co ma z tego? Figę ma. Jest bez fachu i żadnych przed nim widoków na przyszłość. A ruscy też go oplacali jak podrzędną dziwkę w burdelu. Co za głupota. Ieby dać się tak wyrolować i to od razu ze wszystkich stron. Zaoszczędził wszystkiego 3 marnie tysięcy. Ieby to szlag trafił. Ale nie, podkaszali się na kursie korespondencyjnym i poszuka szansy w dziennikarstwie.

Pelen nadziei nabył caravan i zamieszkał z Heddy w domku na czterech kółkach na kempingu w Las Vegas. Niby studiował. A tak naprawdę doił jak smok. Pod koniec 1956 r. pieniądze się rozeszły. Nie widząc innej deski ratunku, zażądał od żony, by podjęła pracę pokojówki w jednym z pobliskich hoteli. I raptem ten grom z jasnego nieba. Lekarze orzekli, że kobieta popada w obłąd. Jest paranoiakiem o wyjątkowych zaburzeniach świadomości. Musi pójść na leczenie do szpitala.

W styczniu 1957 r. Johnsona odwiedził Mintkenbough. Miał na sobie modny garnitur, był na luzie i promieniał zadowoleniem.

– Ledwo cię odszukałem trafił się kieliszkiem. Słuchaj no, stary, Paul przesyła ci upominek.

Wcisnął zaskoczonym Johnsonowi 5 setek do ręki.

– Paul proponuje, żebyś wrócił do wojska i uwiesił się jakiejś bazy raketowej. Będzie ci od niego wpaść trzysta dolarów miesięcznie. Za informacje dużej wagi poleci wysoka premia.

Johnson nie odmówił. Znalazł się w kropce. Jak nie ma co do garnka wrzucić, trzeba dawne żale i niechęci zakopać głęboko do ziemi. No i niebawem stanął na warcie w bazie na przylądku Palos Verdes w Kalifornii, gdzie były rozmieszczone rakiety Nike-Hercules. W krótkim czasie dostarczył ręcznie porobione szkice tych rakiet. Doniósł o technice ich zasilania i rodzaju paliwa. Udało mu się nawet dokonać zdjęć wszystkich części tych latających pocisków. Paul był zdumiony i zachwycony zarazem. Po tym utraczuju i naiwniaku wcale się nie spodziewał takich łupów. Przesłał Johnsonowi parokrotnie spore gratyfikacje.

Po roku Johnsona skierowano do Fort-Bliss w Teksasie, gdzie pod koniec lat czterdziestych montowano pierwsze wielkie amerykańskie rakiety. Zaczęła się żmudna praca nad skompletowaniem dokumentacji tych rakiet. Johnson popisał się znów nieprzeciętnym sprytem i brawurą. W mundurze strażnika miał zresztą wszędzie dostęp. Rozmawiał z kim tylko zechciał. Chytrze podpytywał zwłaszcza techników. Skłaniał ich przy trunkach do poufnych nawet zwierzeń. Swoją chłop, ufano mu bez zastrzeżeń.

Druki i mikrofilmy odbierał Mintkenbough na lotnisku w El Paso i niezwłocznie odlatywał do Waszyngtonu na spotkanie z radzieckim łącznikiem. Naraz Mintkenbough zniknął na parę miesięcy.

– Służba nie druźba, tłumaczył potem Johnsonowi. Byłem na poważnym kursie w Moskwie. Mikrofilmy, podsłuch, organizacja ochrony, przerzuty, skrzynki kontaktowe, sam chyba rozumiesz.

Johnson poczuł ukłucie zazdrości.

– Zostajesz tu? – zapytał.

– Tak, otwieram w Waszyngtonie mały biznes. Taki sztyd, żeby nie wzbudzić niczyjej podejrzliwości.

Nieoczekiwanie i w nagłym trybie przerzucono Johnsona do placówki w Orleanie we Francji.

Przed odjazdem złożył mu wizytę Mintkenbough. – Centrala prosi, żebyś z Orleanu udał się do Paryża. Obok kawiarni przy dworcu Saint-Lazare będzie codziennie czekał na ciebie łącznik. Poznasz go po czarnym berecie. Jak się zbliżysz, zapyta czy masz pięćdziesiąt frankówkę. Pokażesz, a on wyjmie swoją. Doszło?

Ten kontakt udało się Johnsonowi nawiązać gładko i bez powikłań. Przy kawiarnianym stoliku łącznik się przedstawił.

– Wiktor jestem i biorę od ciebie, sierżancie, pod swe opiekierkę skrzydła.

Wiktor, a raczej Wasillij Orzumow oficjalnie pracował w radzieckiej ambasadzie. W istocie należał do nowej generacji oficerów wywiadu kształconych starannie w eksperymentalnej akademii w Moskwie. Postawny, pewny siebie, inteligentny i oczytany umiał się znaleźć w każdym towarzystwie. Angielskim władał biegle, choć ze słowiańskim akcentem.

Wręczył Johnsonowi paczkę camelów z rulonikami w środku pozwyjanych dolarów.

– Podarek z centrali na Boże Narodzenie. Szereko się uśmiechnął.

Po chwili dorucił.

– Orlean to dla nas dziura bez znaczenia. Czy nie mógłby pan wystarać się o służbowe przeniesienie do Paryża.